Nr. 18. Kraków, dnia 1 maja 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

O naszej kulturze historycznej.

Zamieszczamy uwagi jednego z bardzo wybitnych pracowników i uczonych w kraju, zastrzegając sobie głos w dyskusyi:

Stosunki europejskie przekształcają się nieustannie; zmienia się zewnętrzna strona społeczeństwa, zmienia się obyczaj i duch narodu. My wyzbywamy się zwolna tradycyi wskutek zbiegu najrozmaitszych warunków.

Szkolnictwo obecne i duch w nich panujący, obca kultura i ustawy obce, wsiąkają od kilku pokoleń w nasze społeczeństwo wrażliwe naogół na wszelkie wpływy zewnętrzne. Wszędzie zresztą w każdem społeczeństwie, chociażby ono rozwijało się w najprzyjaźniejszych nawet warunkach pewna tylko część nadaje wyraz społeczeństwu, a inne przyjmują już gotowe wzory.

O ile chodzi o naszą istotę narodową, wewnętrzną, to podtrzymują ją i rozwijają pisarze i poeci, uczeni i twórcy, samo społeczeństwo, a udział w tem zadaniu rządów obcych jest minimalny. Jedynie w zaborze austryackim część naszych dążeń jest zaspakajana przez rząd zaborczy.

Społeczeństwo musi wielkim wysiłkiem ducha podtrzymywać rozwój istoty i ducha narodowego. Pisarze starają się społeczeństwu dać wzór, jak należy mówić i jak brzmiało nieskażone słowo polskie. Po Kraszewskim, który naród przyzwyczaił do czytania po polsku, przychodzi Sienkiewicz, który czytelnikowi daje słowo czyste i nieskażone, sięgające do staropolszczyzny i gwary ludowej. Poza tym językiem Sienkiewicz maluje naszą kulturę, obyczaj i charakter, wojnę i pokój, życie codzienne i uroczyste, strój zwykły i wojenne uzbrojenia. Dla społeczeństwa jest to niezwykle ważne. Społeczeństwo uczy się na Sienkiewiczu, chłonie polskość z każdej jego karty, z każdej jego powieści.

A na zewnątrz?

Społeczeństwo nie wie poprostu, jak wyglądała Polska, która jest, żyje i działa, chociaż inaczej odziana niż dawniej.

Przez lata porozbiorowe społeczeństwo zmieniło się doszczętnie, w zupełności. Weszło weń wiele czynników obcych, pozbawionych tradycyi ciągłej, nieuświadomionych wszechstronnie w zasadach swych narodowych.

Biorąc pod uwagę np. zabór austryacki, przekonywamy się, jak ogromny mamy odsetek nazwisk niepolskich! Są to atoli Polacy dobrzy, pracujący na polu narodowem. Nie mają jednak oni tradycyi i mieć jej nie mogą. Obecne pokolenia czują się nawskroś polskie, chociaż ojcowie ich myśleli po niemiecku, żyli w towarzystwie obcem itp.

Brak im bardzo tradycyi narodowych. Rodziny odosobnione nie mogły młodzieży dać tej kultury historycznej, ani świadomości narodowej, ani szczegółowej znajomości przeszłości i obecnych stosunków. Młodzież braki te usuwać musi sama w pracach szkolnych i samokształceniem.

Na ławie szkolnej spotykają się typy rozmaite. U jednych dom na wskroś patryotycznem uczuciem owiany, w rodzinie znajdzie się zawsze jakiś powstaniec lub jednostka, która chociażby przeszła przez chrzest więzienny; u drugich stosunki panowały wręcz przeciwne, nie było nietylko powstańców, ale znajdowali się ci, co powstańców wydawali i denuncyowali, albo za rzeź kraju otrzymywali ordery i odznaczenia.

Stosunki takie muszą się odbić już między młodzieżą samą; pomiędzy młodzieżą obu typów musi pozostać osad niechęci i nieufności, ujawniający się w życiu towarzyskiem i kulturalnem.

Inna kwestya z młodzieżą pochodzącą z ludu i drobnego mieszczaństwa. Homines novi wychodzą jako jednostki dzielne, indywidualności niezwykle silne. Wielu z nich cechuje jednak dążność „dla chleba“ ujawniająca się w ciągłych zabiegach do

zdobycia chleba. O wiele silniej przesiąka się tradycyami Polski pokolenie drugie.

Zresztą u ludu tradycye historyczne polskie są nader silne. Powszechnie za symbol pozyskania ludu dla Polski uważa się Wojciecha Bartosa Głowackiego, który tak bardzo zaznaczył się pod Kościuszką. Ale przecie mamy także tradycye ważniejsze. Tak pod Wielkiemi Łukami za Stefana Batorego pierwsi wdarli się do twierdzy górale tatrzańscy pod wodzą Bartłomieja Kluski z Chochołowa. Pamiętamy udział górali tatrzańskich w oswobodzeniu Polski z pod „potopu“ za Jana Kazimierza; to był początek całej walki o oswobodzenie z pod jarzma szwedzkiego. Przecie tak im pomagali w tej czynności Kurpie. Nie wspominamy już o tylu innych objawach, o przykładach, czerpanych z ostatnich walk powstańczych.

W ludzie naszym spotykamy niezwykle silne przywiązanie do naszej ziemi ojczystej, nie w znaczeniu osobistem, ale najogólniejszem, bo ojcowizna chłopska to nasza ojczyzna. Bronić jej nakazuje sam instykt zachowawczy, który znakomicie wyraża się w przysłowiu: „jeśli nie będziesz bronił ojcowizny, zabiorą ci ojczyznę!“

Lud obecnie garnie się do wiedzy i oświaty. Nadmienić należy, iż pierwiastek historyczny znajduje tu bardzo silne uwzględnienie. W instytucyach naszych kulturalnych lud najczęściej łaknie odczytów historycznych, a w bibliotekach naszych powieści historyczne cieszę się ogromną poczytnością. Uświadomienie ludu wzrasta w ten sposób bardzo szybko. I w Galicyi, a przedewszystkiem w Królestwie uświadomienie narodowe wzrosło przez lekturę historyi Chociszewskiego. Pomagała mu w tem wydatnie ta okoliczność, że dziełko to jest ilustrowane obficie, a ilustracye te są wykonane porządnie i nie przez byle jakich partaczy, ale artystów pierwszorzędnych.

Tego czynnika nie należy nigdy zapoznawać. Przez książkę, zwłaszcza powieść historyczną, z ilustacyami uświadomienie rozlewa się szeroko. Anglicy dają swym dzieciom książki zdobione przez malarzy najprzedniejszych; u nas nieraz zdarza się, iż sprowadzamy obrazki z Niemiec, a do nich dopiero dorabiamy tekst! Ilustracya jest ogromną podnietą, tem ważniejszą, iż wbija się nieskończenie silnie w pamięć. Sami w późnym nieraz wieku przypominamy sobie te powiastki i te obrazki, jakie zostały nam z lat najmłodszych. Do tego modele winny być czerpane z pierwszej ręki, z pierwszorzędnych muzeów, z rycin pierwszorzędnych malarzy. Dopiero wówczas spełnią swe zadania.

Równolegle z tem należałoby podjąć reformę naszych strojów i ogłosić powrót do kontusza, pasów i karabali bodaj w chwilach wielkich uroczystości narodowych Zapoznajemy zewnętrznych oznak polskości, chowamy ją nieustannie w głąb, zamiast rozsiewać ją na okół. Uwagi te dostosowaćby się mogły i do zaniku typowych budowli naszych, ustępujących miejsce dorobkowi doby dzisiejszej. *St. Bończa.*

Uwagi.

— W Przemyślu założono *Towarzystwo Przyjaciół Nauk.* Jest to objaw niezwykle radosny. Świadczy o wzrastającej samowiedzy narodowej, o pogłębianiu się kultury narodowej w kraju. Rzetelna praca dla przyszłości wymaga stawiania posterunków naszej kultury i naszego istnienia na każdem polu. Do Przemyśla dobierają się Rusini, chcąctu osadzić się silnie, jako na wysuniętej daleko na zachód placówce. Na tych miejscach zagrożonych stoją placówki nasze kulturalne, znacząc prawa nasze do ziemi, z której chcą nas rugować, prawa zdobyte krwię i praca pozytywną. Oznaki przeszłości zobrazowane będą w muzeum, które towarzystwo za inicyatywą ks. Osińskiego utrzymuje. Nie jest to pierwsze w galicyi muzeum prowincyonalne. Spotykamy je w Tarnopolu, w Kołomyi, w Nowym Sączu. Analogiczny ruch obudził się w Królestwie, gdzie muzeów podobnych mamy 7.

— *Zdobycie* przez Polaków na *Bukowinie* prawa zdawania egzaminów nauczycielkich polskich jest dużym postępem naprzód. Nauczycielstwo jest tam jednym z najsilniejszych czynników uświadomienia i odrodzenia narodowego. Sytuowana materyalnie lepiej niż w Galicyi, znająca obecnie więcej praw narodowych, intensywniej poświęci się pracy odrodzeniowej na kresach najdalszych, gdzie polskość w ostatnich latach pięciu poczyniła ogromne postępy, bo odkryła ...... lud polski!

Dwie rocznice dziejowe.

Nadchodzi uroczysty miesiąc — maj!... Kościół katolicki poświęcił go Bogarodzicy. Naród polski, jak może żaden inny, przyjął i ukochał nabożeństwo majowe całem sercem. Gdzie tylko kościółek, kapliczka lub choćby figura czy obraz Matki Bożej, wszędzie, cała Polska stroi się w tym miesiącu kwieciem, rozbrzmiewa pieśnią i modlitwą na cześć Maryi. Co dnia miliony ust wszystkich stanów powtarzają oną pieśń błagalną

Serdeczna Matko...

. . . .

Twojej litości błagamy ze łzami:
Królowo Polski, przyczyń się za nami.

Błogosławiona pieśń! Jak długo ją naród polski śpiewać będzie, to znak pewny jego wiary i mocy. Im cześć dla Maryi będzie silniejszą, powszechniejszą, tem bliższą jest chwila szczęścia dla narodu, wyzwolenia...

Ta więc jest pierwsza wskazówka, jaką drogą kroczyć w pracy narodowej.

Nadto miesiąc maj jeszcze ma dla nas Polaków inne — dziejowe znaczenie. W maju bowiem przypadają dwie wielkie rocznice: *Pamiątka ślubów króla Jana Kazimierza i Konstytucya Trzeciego Maja.* Obydwie te rocznice ściśle się łączą i dopełniają wzajemnie, zwracając myśl naszą przedewszystkiem do — ludu, na sprawy ludowe.

Śluby króla Jana Kazimierza wskazały na tę pracę, od której podjęcia i należytego poprowadzenia zależy przyszłość ojczyzny naszej.

Było to w r. 1656. Za przyczyną Matki Najświętszej ocalała Częstochowa, a z nią Polska cała przed najazdem Szwedów. Król Jan Kazimierz wraca z wygnania i we Lwowie przed cudownym obrazem N. Maryi Panny Łaskawej ogłasza Bogarodzicę swoją Patronką i Królową wszystkich ziem polskich. Zarazem składa uroczyste śluby, że rozszerzać będzie nabożeństwo do N. M. Panny i postara się u Stolicy Apostolskiej, aby dzień złożonych ślubów po wieczne czasy co roku był obchodzony. Nie mniej „przyrzekam — mówił król — i ślubuję, że starać się będę usilnie wraz z wszystkimi stanami, aby lud wiejski królestwa mojego od niesprawiedliwych ciężarów i ucisków został wyzwolonym.“

Pamięć czyli rocznicę onych ślubów Jana Kazimierza obchodzimy każdego roku w pierwszą niedzielę maja. Król Kazimierz nie mógł dopełnić poczynionych zobowiązań i aż dotąd nie są one spełnione. Lud wiejski, lud roboczy, aż dotąd zostaje w niewoli ciemnoty, biedy. Każda tedy rocznica ślubów Jana Kazimierza nawołuje wszystkich, ojczyznę miłujących do pracy nad jego wyzwoleniem, nad jego dobrem. I ta jest druga wskazówka z dziejów naszych dla programu pracy narodowej.

Poszły śluby króla Jana Kazimierza w niepamięć. Cześć dla Maryi miasto wzrastać, zmniejszyła się, a natomiast wzmagały się liczne zdrożności i ucisk ludu. Dopiero po pierwszym rozbiorze polski ocknięto się, chciano złe naprawić. Zebrał się Sejm i ułożył nowe prawa czyli konstytucyę *dnia 3 maja 1791 roku.* Nowa konstytucya zrobiła krok naprzód w dopełnieniu ślubów Jana Kazimerza, bo zapewniała każdemu równy wymiar sprawiedliwości, a mieszczaństwu przyznawała prawo wysyłania posłów na Sejm, czego dotąd nie było. Cały naród, prócz kilku zdrajców, przyjął ją z uniesieniem, jako zapowiedź odrodzenia dla Ojczyzny. Niestety naprawa przyszła już za późno. Wrogowie rozdarli Polskę i nie pozwolili przeprowadzić rozpoczętego dzieła.

Nie uratowała wprawdzie nowa konstytucya ojczyzny od upadku, mimo to jest ona wielkiem dziełem i chlubą naszą. Przez nią złożyli Polacy, dowód piękny miłości ojczyzny i poświęcenia osobistych, a nieraz samolubnych celów na rzecz dobra ogólnego. Tak nam wszystkim dzisiaj czynić należy. Gdy ucisk wrogów coraz większy, a chwila obecna tak ważna, nie czas na partyjne spory i wewnętrzne rozterki. Wiele jest do zrobienia, wiele do poprawy. Tego zaś dokonać możemy tylko w zgodzie i jedności wszystkich, wspólną pracą całego narodu. I oto jest znowu trzecia wskazówka z dziejów naszych dla pracy narodowej.

HOŁD KRÓLOWEJ JADWIDZE.

Na grób Twój pójdziem i na miejsce Boże,
Z którego dzwon dziś chwałę Twą ogłasza.
O, zapal w sercach naszych nowe zorze,
O, daj nam światło, co moc starą zmoże,
Królowo nasza!

Zapłomień zimne piersi iskrą ducha!
Oczyść nam usta węglem Izajasza!
Gdzie nędza cierpi, gdzie siedzi noc głucha,
Miłość z serc naszych niech ogniem wybucha,
Królowo nasza!

Pokaż nam drogę do bratnich dusz ludu,
Gdzie chaty ciemne, gdzie mroczne poddasza!
Daj czołom naszym najświętszy chrzest trudu
I tęczą Twego opromień je cudu
Królowo nasza!

Daj zgodę myśli i jedność daj czynu,
Daj karność — niech się chów Twój nie rozprasza!
O, rozpal wpośród niewiast polskich gminu
Żar pożądania zasługi wawrzynu,
Królowo nasza!

Daj ziemi służyć! Daj bronić nam ziemi,
Gdy ją dłoń niecna przedawa Judasza
Razem z prochami ojców, razem z temi
Piastowych kmieci strzechami siwemi,
Królowo nasza!

Daj stać niewieścim duchom w tej świątyni,
Co dziś cześć Twoją skroś wieków roznasza
I niech się światło nad nami uczyni,
O, pierwsza chramu tego Hospodyni,
Królowo nasza!

Zwiąż nas imieniem Twojem w zwarte roty!
Daj męstwo! niech nas walka nie przestrasza —
Daj zburzyć twierdze krzywd, nędzy, ciemnoty,
Rozwiń nad nami proporzec Twój złoty,
Królowo nasza!

Marya Konopnicka.

Jak przygotować umysł dziecka do nauki szkolnej.

Rozpoczynając naukę szkolną, spotykamy wielką rozmaitość w przygotowaniu, czyli w rozwoju umysłowem dzieci. Jedne patrzą na nas szeroko otwartemi oczami, nie rozumieją o co pytamy — chociaż mówimy językiem ojczystym, nieśmiałe, zafukane, jeżeli po dłuższej chwili zdobędą się na odpowiedź n. p. na wymienienie swego imienia i nazwiska, wymawiają je niewyraźnie, sepleniąc i po dziecinnemu przekręcając. Wiele dzieci nazwiska swego nie zna, wywołane nie ruszają się z miejsca. Inne znowu są „przemądre", wszystko wiedzą, na wszystko chcą odpowiadać, wyrywają się i przeszkadzają, nawet znają już wszystkie litery i umieją je składać, sylabizując ba - ba - ba. Uczył je przecież dziadzio, ma dużo czasu — chciał aby poszły do szkoły przygotowane. Kłopotu z niemi w szkole nie mniej jak z tamtemi, bo zanim się je zacznie uczyć, trzeba oduczyć tego, co z domu przyniosły, a co w szkole jest tylko zawadą. W klasie złożonej z kilku dziesiątek dzieci, znajdzie się przecież gromadka, z którą łatwo pracować, znajdą się oczka bystre i rozumnie patrzące, znajdą odpowiedzi wypowiedziane wyraźnie, chociaż po dziecinnemu. Jakież powody tych różnic? Oprócz wrodzonych mniejszych i większych zdolności, szybszego lub wolniejszego rozwoju umysłowego, który jak to wykazałem, zależy często od zdrowia dziecka, ważnem jest bardzo przygotowanie umysłu do nauki czyli wychowanie przedszkolne. Jak o zdrowie dziecka troszczyć się trzeba od chwili jego urodzenia, a nawet wcześniej, tak samo i nad rozwojem umysłu pracować należy jeszcze przed jego urodzeniem. Znanym jest powszechnie straszny wpływ pijaństwa na potomków, obliczenia czynione przez lekarzy dowodzą, że dzieci pijaków są najczęściej głupkowate, umysł ich tępy z trudnością się rozwija przy najlepszym nawet kierunku, cierpią za winy ojców. Matki przed urodzeniem dziecka i karmiące je, powinny więc zupełnie wstrzymać się od używania napojów alkoholowych, jeżeli chcą mieć dzieci zdrowe i zdolne. Alkohol działa źle, szkodliwie przedewszystkiem na nerwy i mózg i przytępia zdolności umysłowe.

Przez zdolności umysłowe rozumiemy łatwość pojmowania, wyuczania i zapamiętania tego, cośmy, widzieli, słyszeli i czegośmy się uczyli.

Jak murarz z drobnych cegieł wznosi wspaniałą budowę, stosując się do planu artysty, tak powoli powstaje budowa wykształcenia ludzkiego umysłu.

Cegiełkami są obrazy świata zewnętrznego, które nasuwa dziecku całe jego otoczenie, a także podają rozmyślnie, według planu, wychowawcy i nauczyciele. Robotnicy, którzy znoszą i podają cegły, to zmysły i nerwy. Praca rozpoczyna się wcześnie, niemal od pierwszych chwil życia dziecka. Wiedzą wszystkie matki, że już kilkotygodniowe dziecko zna matkę, mamkę lub niańkę, płacze gdy głodne, zobaczywszy zaś karmicielkę, śmieje się i wyciąga rączki. Powoli poznaje inne osoby ze swego otoczenia, ogląda się na ojca, gdy wołają „tata" wyciąga rączki do braciszka bawiącego się piłką, a płacze, gdy ją chowa. Widocznie w umyśle dziecka powstały już obrazy osób i rzeczy, na które patrzyło, które dostrzegło.



Wyjazd na polowanie.

Oko i połączone z niem nerwy niby latarnia czarnoksięska pochwyciły obraz, a odbicie jego zachowała w umyśle pamięć. Im częściej i dokładniej dziecko na przedmiot patrzyło, tem obraz jest silniejszy, trwalszy, czyli jak mówimy w mowie potocznej, tem lepiej zna i pamięta rzecz lub osobę daną. Podobnie jak za pomocą oka, dostają się do umysłu dziecka wyobrażenia drogą ucha — rozpoznaje dźwięki, naśladuje je, uczy się mówić, śpiewać. Te dwa zmysły, wzrok i słuch, których narzędziami są oko i ucho, to najpracowitsi robotnicy przy zapełnianiu umysłu ludzkiego, przy budowie wspaniałego gmachu jego wykształcenia. Wiemy wszyscy, jak nieszczęśliwym jest ślepy lub głuchy od urodzenia. Ślepemu oko zastępują końce palców, dotykając nimi przedmiotów, poznaje kształt, czuje czy wielkie są, czy małe, ale czego dotknąć nie może, o tem wyobrażenia nie ma. Głuchy nie słysząc dźwięków, nie może ich naśladować, stąd staje się głucho-niemym. Jemu pomaga oko patrząc w usta mówiącemu, uczy się wymawiać wyrazy głosem tępym, martwym, którego nie słyszy. Czucie, węch i smak doprowadzają razem do umysłu mniejszą ilość wyobrażeń niż oko samo.

Z wyobrażeń, t. j. obrazów poszczególnych osób i przedmiotów przechowanych pamięcią powstają w umyśle zwolna obrazy nowe, ogólne. I tak: dziecko zna swoją piłkę, widzi jej barwę, jej kształt, wielkość, widzi, że rzucona o ziemię odskakuje. Zobaczy piłkę siostry, później inne u innych dzieci i wnet się nauczy, kulkę odskakującą zwać piłką. Z poszczególnych wyobrażeń, czyli obrazów piłki a, b, c, powstał jeden tylko ogólny: piłka. Pracowała tu wyobraźnia, ona niby robotnica odrzuciła to, co każda piłka ma szczególnego, więc: wielkość i barwę, a cechy wszystkim wspólne: kształt kulisty i własność odskakiwania połączyła w jeden ogólny obraz, któremu nie odpowiada nic rzeczywistego — czyli utworzyła pojęcie piłki. — Wyobraźnia i pojęcia, stanowią, bogactwo naszego umysłu, z nich tworzą się sądy i wnioski, a czynność ta zowie się myśleniem. Kiedy dziecko kawałek cukru bierze do buzi, a wypluwa gorzkie lekarstwo, czyni to zrazu mimo woli i wiedzy, cukier jest mu przyjemny, lekarstwo przykre, ale doświadczenie uczy. Wnet też maleństwo do cukru wyciąga rączki, wnet odpycha flaszkę apteczną, a usteczka jego wydają pierwsze sądy, mówiąc o rzeczach i osobach miłych „caca“, o przykrych „be“. Człowieczek z przymileniem szepcący „mama caca cucu daj“ już myśli, już sądzi i wnioskuje. Już wie, że mamę cieszy, gdy ją nazywa caca, i wie, że gdy mama ucieszona, daje mu coś dobrego a cukier dobry, więc aby dostać „cucu“, trzeba mamie powiedzieć „caca“. Tak pracuje mała główka, patrzą ciekawie oczka, natęża się różowe uszka, wyciąga maleństwo rączyny do świata — aby niby pszczółka słodycz do ula z kwiatów biorąca z otoczenia swego zbierać skarby do umysłu.

Matki zadaniem jest dopomódz maleństwu i pokierować budzącą się wrażliwością, matki obowiązkiem instynkt, którym dziecię się rządzi odruchowo uszlachetnić i nie łamiąc natury, przytłumiać złe odruchy, a rozwijać wszystkie piękne i dobre popędy dziecka.

Z przygód i wędrówek.

LEW.

Straszliwe odbywają się walki pomiędzy samcami, gdy chodzi o dobranie sobie towarzyszki życia.

Pewien Arab opowiadał algierskiemu pogromcy lwów o takiej walce dwóch rywali, której był mimowolnym świadkiem. W jedną jasną noc księżycową czatował w zasadce na jelenia i dla większego bezpieczeństwa, wdarł się na wysoki dąb, rosnący na leśnej polanie, w pobliżu wydeptanej ścieżki. Około północy ujrzał lwicę w towarzystwie lwa zdobnego już w zupełnie wyrosłą grzywę. Lwica opuściła ścieżkę i ułożyła się pod dębem, lew zaś pozostał na ścieżce i zdawał się nasłuchiwać. Wkrótce zdaleka ozwał się ryk, na który lwica niezwłocznie odpowiedziała.

Wtedy towarzysz jej ryknął tak straszliwie, że strzelec, siedzący na dębie uronił strzelbę i uchwycił się gałęzi, aby się sam od upadku ochronić. Im więcej zbliżać się zdawał lew przybywający z odległości, tem żywiej odpowiadała mu leżąca lwica, gdy tymczasem jej towarzysz z wściekłością biegał tam i nazad, jakby chciał powiedzieć: „Dobrze, niech tylko przyjdzie, zobaczy, jak go przyjmę!“ Po upływie godziny ukázał się „czarny“ lew na polance; lwica natychmiast powstała i szła na jego spotkanie; towarzysz jej jednak odgadł ten zamiar, minął ją w szalonym pędzie i rzucił się na czekającego nań rywala. Oba lwy poskoczyły ku sobie i oba padły na ziemię. Walka toczyła się długo i była przerażającą dla mimowolnego jej świadka. Kości trzeszczały pod straszliwemi zębami, pazury rwały



ZWIERCIADEŁKO.

żywe mięso, a ryk to głośny, to znowu głuchy zdradzał zawziętość zwierząt i ich katusze. Już przy początku walki lwica położyła się na brzuchu, przypatrując się jej z zajęciem i przez cały czas trwania zapasów poruszała ogonem, jakby przez próżność, że dwóch takich zapaśników walczyło z sobą o jej posiadanie. Skoro walka się skończyła... z powodu braku walczących, ponieważ obaj zapaśnicy leżeli bez życia, zbliżyła się zwolna do trupów, obwąchała je i odeszła zwolna, nie racząc rzucić ani jednego spojrzenia na poległych rywali.

Gerard powiada, że samiec posiada daleko lepszy charakter, ponieważ raz obranej towarzyszki nigdy nie porzuca, okazując wielkie do niej przywiązanie i pieczołowitość tak dla niej, jak i dla potomstwa, co jednak czyni niechętnie, ponieważ surowe to i poważne zwierzę, niechętnie znosi dokuczliwe nieraz igraszki małych lwiątek. Arabowie, wiedzący dobrze gdzie się znajduje gniazdo, ponieważ porwane bydło zawsze w tę stronę bywa wleczone, korzystają z czasu, w którym matka przestaje karmić mlekiem młode, co zwykle następuje w trzy miesiące po wyrznięciu się zębów i zabierają lwięta z gniazda. W tym celu przez całe dnie czatują na pagórku, albo na drzewie, skąd mogą widzieć, co się w gnieździe dzieje i skoro ujrzą, że samca przy lwiętach niema, wtedy ostrożnie czołgają się aż do gniazda, chwytają lwięta, okręcają je burnusem, aby głos ich stłumić i niosą je jeźdzcom, czekającym na skraju lasu. Ci zatem, mając lwięta przed sobą, a ich rabusiów za sobą na koniach, pędzą co koń wyskoczy, aby ujść jaknajprędzej. Taka wyprawa jest jednak niebezpieczna, jak o tem świadczy następujący przykład: W marcu 1860 roku, w lesie

el Guela w górach Mezium, była lwica z lwiętami, które zamierzano pochwycić. Rankiem zatem umówionego dnia zebrało się po trzydziestu Arabów z każdego z dwóch sąsiadujących z sobą pokoleń, na wyznaczonem miejscu zebrania.

Otoczywszy wokoło miejsce, w którem się gniazdo miało znajdować, zaczęli wydawać okrzyki, a gdy pomimo tego hałasu lwica się nie ukazała wnieśli stąd, że jej w gnieździe przy dzieciach nie ma i ruszyli naprzód, ściskając więcej koło, podobnie jak w zwykłych naszych polowaniach na drobną zwierzynę z t. zw. „kotem“. Rzeczywiście zastali w gnieździe same tyko lwięta i te zabrali. Powracali gwarnie z tak szczęśliwie poprowadzonej wyprawy, sądząc, że już ze strony lwicy żadne nie grozi niebezpieczeństwo. Gdy szeik Sedek pozostał nieco w tyle, nagle ujrzał wysuwającą się z zarośli lwicę i zmierzającą prosto ku niemu. Natychmiast przywołał synowca swego Mezoad'a i przyjaciela Alego, którzy też niezwłocznie pospieszyli mu na promoc. Lwica nie napadła na szeika jadącego konno, lecz rzuciła się na jego synowca, idącego pieszo: młodzieniec przypuścił ją blisko, zmierzył i chciał dać ognia, ale broń nie wypaliła. Mozaoud szybko odrzucił broń już nieużyteczną, lewe ramię okręcił burnusem i wetknął całą rękę w paszczę lwicy; w jednej chwili ramię zostało zgruchotane. Śmiały młodzieniec nie cofając się krokiem, wolną, zdrową prawą ręką chwycił pistolet, przeszył dwiema kulami ciało lwicy i tem zmusił ją do odstąpienia. Lecz w tejże chwili lwica rzuciła się na Alega, który jej wpakował kulę w paszczę i pochwyciła go za barki; ocalenie swoje zawdzięcza jedynie śmierci lwicy,która już trzymając go pod sobą, wyzionęła ducha; lecz jeszcze miała czas i siłę zgryźć mu rękę i wyrwać kawał mięsa koło żeber. Ali jeszcze żył, ale pokaleczony, Mezaoud zaś umarł wskutek odniesionych ran w dwadzieścia cztery godziny po wypadku.

Lew dochodzi do zupełnego wzrostu dopiero w ósmym roku życia. Wtedy siła jego jest u szczytu potęgi i grzywa zupełnie wyrosła. Podług Gerarda znajdują się w Algierze trzy odmiany lwów: czarna, płowa i siwa. Czarny lew, dający się rzadziej napotykać, niż dwie pozostałe odwiany, jest nieco mniejszy, lecz ma głowę, łopatki, biodra i łapy silniej zbudowane. Sierć jego jest ciemno gniada aż do łopatek, gdzie porasta długą i gęstą grzywą, nadającą mu wcale nie wzbudzający zaufania wygląd. Czoło jego jest tak szerokie, jak długość przedramienia człowieka, od pięści do łokcia, długość ciała od końca nosa od nasady ogona wynosi 3 i pół metra; waga ciała waha się między 500 do 600 funtami. Arabowie boją się tego lwa więcej niż innych i mają słuszność. Zamiast zmieniać ciągle miejsce pobytu, jak płowy i siwy, czarny lew obiera sobie stałe mieszkanie w dogodnej dla siebie okolicy i przebywa w niej czasem do lat trzydziestu. Rzadko schodzi w równiny do napadów na „duary“ (wioski) Beduinów, lecz czatuje wieczorami na stada bydła stępującego z gór i zabija odrazu pięć lub sześć sztuk, aby się ich krwią uraczyć. W lecie, w czasie długich dni, opuszcza z zachodem słońca swoje legowisko i udaje się na drogi i ścieżki w górach dla czatowania na spóźnianych jezdnych lub pieszych podróżnych. Pewien Arab, który w takim wypadku zeskoczył z konia, zdjął z niego siodło i munsztuk, a sam ratował się ucieczką, poświęcił konia, który w jego oczach został rozszarpany. Nie zawsze jednak tak się zdarza, a jezdni i piesi rzadko uchodą cało przy spotkaniu się z czarnym lwem. Płowy i siwy lew różnią się pomiędzy sobą tylko kolorem grzywy, są nieco większe, ale nie tak silnie zbudowane; zresztą mają podobny charakter i tenże sam sposób życia jak czarny lew z wyjątkiem wyżej wzmiankowanych różnic.

Abstynenci

wobec zadań kulturalnych.

Rozpowszechnione jest mniemanie, że abstynencya od alkoholu nie jest pracą twórczą, która nowe społeczeństwu daje wartości, lecz ogranicza się do usuwania zwyczaju picia.

Publiczność stojąca poza nami, uważa zaniechanie alkoholu, nawet całkowite jego wykluczenie z życia rodziny, za sprawę prywatnej hygieny, naszą zaś działalność społeczną ogranicza do zwalczania pijaństwa. Gorzej jest, że przeważna część zwolenników naszych, wyrzekłszy się czarta i czynów jego, t. j. alkoholu, zadowalnia się tem, uspokaja sumienie przekonaniem, iż dość jest świecić dobrym przykładem, ażeby przysłużyć się krajowi.

Dobry przykład osobników i rodzin, które wykluczają zupełnie napoje gorące z życia, znaczy niewątpliwie bardzo dużo i posuwa naprzód sprawę wstrzemięźliwości. Dla obywatela szczęśliwego kraju, w którym tylko alkohol jest psotnikiem, a wszystkie inne stosunki zostały już odpowiednio uregulowane, byłoby to może wystarczające. Ale takich wybranych krain szukać trzeba na innej planecie — na naszej ziemi wszędzie stosunki są



W natchnieniu.

wadliwe. U nas na ziemiach polskich roboty nagromadziło się mnóstwo, a pokolenie nasze naprawić musi grzechy przeszłości i budować przyszłość.

Znaczy to, że jesteśmy dziś pod względem naprz. szkolnictwa i oświaty najwięcej zacofanym krajem, że przodkowie nasi nie troszczyli się o kulturę ludu, że sami skłonni jesteśmy utonąć w bezmyślności i apatyi, raz ukończywszy nauki, t. j. porzuciwszy szkolną czy uniwersytecką ławę. Tymczasem nauka i wogóle praca umysłowa powinna stanowić całą funkcyę naszego mózgu, który inaczej utonie w drobiazgach i kłopotach życiowych.

Gdybyśmy życie przepędzali w zamkniętym obrębie mieszkań, nie widząc nigdy pól szerokich, gór niebotycznych — to wynikiem byłaby niewątpliwie krótkowzroczność. Wzrok bowiem przystosowuje się do odległości, na którą patrzy. Podobnie i umysł nasz, obracający się nieustannie w sferze spraw osobistych i codziennych, oraz wiadomości gazeciarskich, z których niezawsze nawet wybór zrobić potrafi, — karleje i zanika. Tylko ciągłe poszukiwania naukowych prawd, tylko kąpanie się w świecie poezyi i piękna pozwoli nam przez całe życie spoglądać ku dalekim myślowym horyzontom. Tylko ono utrzyma do późnej starości świeżość umysłu, która nie pozwoli pozostać w tyle za młodem pokoleniem.

Zapytasz może czytelniku, czy czytelniczko, czemu zwracam się z temi słowami nie do ogółu, lecz specyalnie do abstynentów. Wystarczyłaby może odpowiedź, że pisarz zwraca się zwykle do tej grupy, która go najwięcej obchodzi. Jest to jednak powód, ale są i inne, usprawiedliwiające mnie argumentami. Ideę wstrzemięźliwości szerzyć

należy dwojaką drogą: przez bezpośrednie pouczanie o szkodliwości alkoholu słowem i przykładem, oraz przez stwarzanie przyjemności i zajęć, którebyo alkoholu zapomnieć pozwalały. Ludziom nie wystarcza praca i trud codzienny dla zdobycia chleba i utrzymania życia, pożądają oni momentów jaśniejszych, wrażeń silnych, oderwania od dnia powszedniego. Dziś nietylko lud, ale i większość inteligencyi w poszukiwaniu takiej zmiany wrażeń zagląda do brudnego szynku lub eleganckiej restauracyi. Alkoholizowanie się nie zawsze jest u nas nałogiem, częściej bodaj jest zabijaniem godzin pozostałych od zawodowej pracy. Od tego się przynajmniej zaczyna. Stwórzmy ludowi naszemu interesy umysłowe, rozbudźmy jego zmysł etyczny, wskażmy drogę kulturalnej pracy, dajmy inteligencyi sposobność do umysłowej lub społecznej pracy, a jednocześnie odciągniemy jednych i drugich od alkoholizmu.

Do abstynentów przedewszystkiem należy to zapoczątkowanie. Nie dość być wstrzemięźliwym i chronić siebie i potomstwo swe od zgubnych następstw alkoholizmu, nie dość wierzyć, że wstrzemięźliwość niezbędnym jest warunkiem narodowego odrodzenia, trzeba nad tem odrodzeniem pracować, trzeba je przybliżać, bo wiara bez uczynków martwą jest! Pamiętajcie, bracia abstynenci, że chodzi tu o powodzenie wielkiej i wspólnej nam wszystkim sprawy, sprawy wstrzemięźliwości i odrodzenia moralnego narodu.

Tomasz Ambroży Andrzejewski.

Drobiazgi naukowe.

Zastosowanie promieni Roentgena w dentystyce.

Promienie prześwietlające Roentgena znajdują coraz szersze zastosowanie w najrozmaitszych dziedzinach, szczególniej zaś korzysta z nich medycyna, której oddają nieocenione usługi. W ostatnim czasie zwróciła się do nich dentystyka, a dziwić się należy, dlaczego się tak długo ociągała. Próby wypadły nad wyraz pomyślnie. Okazało się, że promienie Roentgena w tym zakresie przynoszą pomoc znakomitą. Wybitni lekarze-dentyści, Reiniger, Gebbert i Schall, zbudowali przyrząd specyalny, który pozwala wielce wygodnie spożytkowywać właściwość prześwietlającą promieni Roentgena przy leczeniu zębów. Przy pomocy tego przyrządu, można szybko i dokładnie zbadać stan zębów i szczęk, zauważyć i rozpoznać najdrobniejsze, najsubtelniejsze w nich zmiany. Pęknięcia korzeni zębów, zapalenia szczęk, ropienia, zaognienia itp., promienie Roentgena ujawniają z wszelką ścisłością. Niemniej przy świdrowaniu, plombowaniu i czyszczeniu zębów, przy regulowaniu ich miejsc właściwych, są jedyną dziś, niczem niezastąpioną wskazówką. Wreszcie wielką okazują pomoc przy badaniu zębów dziecięcych, pozwalając oryentować się w stosunku położenia zębów mlecznych względem innych, dostrzegać wszelkie anomalie.

Przyrząd, wynaleziony przez trzech wyżej wymienionych lekarzy, jest dość skomplikowany. Najważniejszą jego częścią jest aparat indukcyjny, wzbudzający prąd elektryczny o wysokiem napięciu. Składa się ten aparat z cewki, niewieloma skrętami owiniętej drutu grubego, przez który przebiega w krótkich odstępach prąd przerywany, oraz z wyżej umieszczonej drugiej cewki, z gęsto nawiniętym drutem cieńszym, przez który przechodzi prąd o wysokiem napięciu. Każdorazowo, przy otwieraniu i zamykaniu wprowadzanego wewnątrz cewki prądu, powstaje zewnątrz cewki prąd indukcyjny; przy zamykaniu jest on o wiele słabszym niż przy otwieraniu, a ponieważ działanie rurki Roentgena wymaga tylko określonego napięcia prądu, więc w danym razie można go dowolnie wzmacniać lub osłabiać. Przyrząd potrzebny do otrzymania szybkiego przerywania prądu, składa się z elektromotoru, na którego prostopadłej osi, u góry, znajduje się rezerwuar z rtęcią, a w niej zanurzony jest podwójny sztyft kontaktowy — tym sposobem otwiera się i zamyka prąd.

Właściwość prześwietlania promieni Roentgena można wzmacniać za pomocą pewnych substancyi, baru, platyny itp. Przy zdjęciach fotograficznych nie potrzeba zaciemniać przestrzeni. Żeby otrzymać zdjęcia ostre, stosuje się blendę, związek chemiczny, złożony z cynku, żelaza i siarki.

Jak odkryto kometę 1910 r.

Dopiero teraz na mocy listów, otrzymanych z Johannesburga w Afryce południowej, stwierdzono szczegóły i uzupełniono dzieje odkrycia wielkiej komety, która pojawiła się na niebiosach w styczniu r. b. i otrzymała nazwę komety 1910 r.

Oto okazuje się, że kometę spostrzegło najpierw i obserwowało w ciągu mniejwięcej dwudziestu minut wczesnym świtem dnia 15 stycznia



Powrót z pastwiska.

r. b., trzech robotników kolejowych, dozorujących wówczas toru: Bourke, Tricher i Marais. Ludzie ci słyszeli już o komecie Halleya, wyglądanej w Afryce południowej z niecierpliwością nie mniejszą od naszej, byli więc pewni że ujrzeli tę właśnie kometę i zawiadomili o odkryciu swem naczelnika stacyi Kopjes (w dawnem wolnem państwie Oranje, a obecnie kolonii angielskiej), ten zaś przesłał nowinę telegraficznie dziennikowi „Leader“ w Johannesburgu.

Redakcya dziennika powyższego niedowierzając snadź depeszy swego korespondenta zwróciła się telefonicznie z prośbą o wyjaśnienie do miejscowego obserwatoryum astronomicznego. Takim więc sposobem wieść dotarła uszu świata naukowego. Astronomowie Johanesburscy, Innes i Worsell, zasiedli tedy nocy następnej na czatach, wyglądując gościa z powodu jednak chmur nie mogli go dojrzeć dnia 16 kwietnia. Dopiero następnego poranku, dnia 17 stycznia, ujrzeli kometę i to na krótko w luce utworzonej przez sunące po niebie obłoki. Niemniej zawiadomili natychmiast o tem międzynarodową stacyę centralną dla wiadomości astronomicznych w Kielu, która tego samego dnia jeszcze zaalarmowała cały świat astronomiczny — i ma się rozumieć prasę. Niebawem więc ze wszystkich stron kuli ziemskiej zaczęły napływać głosy: Jest! jest! — i nowa kometa stała się popularną.

Co wszakże głównie zasługuje przy tem odkryciu na uwagę, pomijając okoliczność że odkrywcy odkryli nie to, o czem myśleli, jest nadzwyczajna szybkość, z jaką — dzięki elektryczności — wiadomość o odkryciu przebyła drogę dość skomplikowaną, pomimo, że niebo zachmurzone z dnia 16 stycznia wywołało opóźnienie 24-godzinne, z łatwo bowiem zrozumiałych względów wiadomości fachowe nadsyłane, do centrajnej stacyi astronomicznej w Kielu, nie mogą być oparte jedynie na pogłoskach.

Jakże inaczej działo się przed stu laty! Gdy mianowicie w styczniu 1801 roku młody astronom włoski Piazzi, dokonał nierównie ważniejszego odkrycia, mianowicie odkrył planetę Ceres, pierwszą z grupy t. zw. planet drobnych, liczącej obecnie już blisko 700 numerów, listy Piazziego potrzebowały trzech miesięcy, zanim dostały się do rąk astronomów w Niemczech, Francyi itd., planetą

zaś stała się tymczasem znów niewidzialną. I gdyby jeden z najgenialniejszych matematyków świata, 24-letni wówczas Gauss, nie był już stworzył nowej metody obliczeń astronomicznych, która wytrzymała świetnie pierwszą swą próbę przy obliczeniu właśnie punktu na niebiosach, gdzie powinna była znajdować się planeta Piazziego — to znalezienie jej śród tysięcy podobnych jej gwiazd równałoby się znalezieniu szpilki w stogu siana. Pod tym więc względem możność szybkiego zawiadamiania świata naukowego o nowych odkryciach wywołała przewrót zupełny.

„MĘCZENNICE PRACY.“

Są rzeczy, jakich pod żadnym warunkiem zaniedbać się nie powinno.

W pewnej, w dobrych stosunkach żyjącej rodzinie, umarł ojciec, pieniędzy nie pozostawił, żyli z jego pensyi, jakiej z odejściem jego zabrakło. Ale niestety — pozostali, mieli wymagania i nawyczki wielkopańskie. Okropną wydawała im się konieczność ograniczania wydatków i odmawiania sobie rzeczy, do których byli przyzwyczajeni. Stosunki się więc tak złożyły, że trzeba było oglądać się za zarobkiem; najstarsza siostra musiała postarać się o dostanie miejsca nauczycielki, egzamin była złożyła jeszcze za życia ojca, na wyraźne jego życzenie, dotychczas jednak jeszcze nie praktykowała. Zrazu było jej tak jak wszystkim, którzy niechętnie pracy się imają; upatrywała tylko ciemnych stron w swem powołaniu. Z czasem jednak przywykła, zrozumiała dobroczynny wpływ poważnej, uczciwej pracy i czuła się nawet szczęśliwą.

O tem jednak, że dobrze, jej zaniedbała matce swej powiedzieć. Nie odpowiadała nic, gdy matka codziennie lamentowała nad nią, żałując jej, że się tak dla niej i rodzeństwa poświęcać musi! „Szczęście sobie człowiek pracą stworzyć może, tak mi o wiele lepiej, aniżeli gdybym musiała życie wieść w bezczynności, a tak piękną nagrodę mam w tem, że mogę dla was, kochani, być pomocą, bądźcie wraz ze mną weseli, a ty mamo, nie narzekaj i pociesz się“. Tak mogła i powinna była powiedzieć i — zadowolenie byłoby zamiast westchnień — zapanowało. Dlaczego nie uczyniła tego? Prawdopodobnie pochlebiało jej uchodzenie za męczenniczkę. Tej słabostce uległa. Sama nie wiedziała, jaką moc posiadała, mianowicie, możność uszczęśliwienia czworga ludzi, bo co może dać piękniejsze zadowolenie, jak wywołanie na smutne oblicza — uśmiechu! I tak ominęło szczęście ten dom. Córka tak się przejęła rolą przez matkę jej nadaną, że wreszcie znowu straciła ochotę do swojego zajęcia i — czuła się śmiertelnie nieszczęśliwą.

Złote ziarna.

(Z Sewera: „Bajecznie kolorowa“.)

Przyszłość naszej sztuki leży w prawdzie, a prawda — to pejzaż, powietrze, słońce i przepyszne plamy ludu naszego.

Do ludu! w nim odrodzenie naszej sztuki, w nim prawda, szczerość, natura..

Do ludu iść, to znaczy, kochać go w jego najpiękniejszej postaci, kochać go w jego młodości, w jego wdzięku, w jego prostocie, to znaczy, kochać jego dziewczęta, ciepłe, szczere, — kochać wiosnę jego życia.

Rzetelna kultura łączy się z prostotą.

Miłość jest wszystkiem — siłą, która rzucony świat trzyma w powietrzu!

Prostota jest dla mnie szczerością, szczerość i prostota — pięknością. Bez szczerości niema prawdy, niema piękna, — jest szych, blaga, konwenans, szablon, kłamstwo.

TO I OWO.

Partya szachów w klatce lwa.

W większych miastach europejskich popisuje się obecnie piękna i młoda poskromicielka dzikich zwierząt, panna Jeanet, rodem Francuzka. Wywołuje ona zdumienie swoją odwagą i krwią zimną. Bawiąc w Mailand, skłoniła fotografa Florilliego, oraz kawalerzystę Mariona Cararnitiego,



Przy herbacie.

aby weszli wraz nią do klatki lwa i tam odfotografowali królewskie zwierzę. Obu tym panom tak się podobał pobyt w lwiej klatce, że wyjednali sobie u pięknej poskromicielki pozwolenie zagrania tam partyi szachów. Szło tu, jak się łatwo domyśleć, o gruby zakład. Uzyskawszy pozwolenie, ryzykowni śmiałkowie umieścili szachy tuż przy lwie, ustawili figury, fotograf przykucnął z jednej strony lwa, kawalerzysta z drugiej i rozpoczęli grę. Lwu snać nie podobały się szachy, bo poruszeniem łapy wywrócił szachownicę i rozsypał figury. Nie zraziło to śmiałków. Obecny w klatce dozorca uspokoił lwa, oni zaś znów rozpoczęli grę. Tym razem lew im nie przeszkadzał, leżał spokojnie przez cały czas partyi, którą wygrał fotograf. Trzeba dodać, że gracze bynajmniej się nie spieszyli, gra odbyła się prawidłowo, bez skróceń.

Grzeczność.

O grzeczności, jaka cechuje wielu Polaków i kiedy powinna ona być stosowana, trafnie pisze jedno z pism, bo powiada:

„Grzeczność w towarzyskiem pożyciu jest zapewne zaletą człowieka dobrze wychowanego i tu może sprawdza się narodowe przysłowie: że nikt nigdy na grzeczności nie traci, ale co innego, jeżeli ten przymiot naszego wychowania chcielibyśmy przenieść do zawodu publicznego. Tam grzeczność jest słabością, a stać się może... upodleniem i tu by rzec należało: kto grzeczny, ten zawsze traci. Bo chociaż grzeczność nie ma tej nikczemności, co bojaźń, ani tej podłości i intrygi co ambicya, ale ma słabość podobania się wszystkim, ma lękliwość, aby się nie narazić nikomu, i tej słabości poświęca obowiązki względem prawdy,

sprawy i ojczyzny. Są to po większej części charaktery słabe, łagodne, potulne, albo ostudzone serca, albo, nareszcie i głowa, i serce puste".

Ostre to słowa pod adresem zwolenników przesadnej grzeczności, ale zawierają wiele prawdy, gdyż w naszych stosunkach czasem zbytnia grzeczność, gdy idzie o sprawy ogólne jest nie na miejscu i może nas przyprawić o straty moralne i materyalne.

Kobiety przeciwko związkom małżeńskim.

W Chinach kobiety pragną wyzwolić się od przymusowych związków małżeńskich. Walkę temu prawu wypowiedział związek kobiet. Kobiety, które się zaciągają w szeregi tego związku, zobowiązują się zwalczać srogie prawo małżeńskie, według którego niewiasta przed zamążpójściem jest niewolnicą swego ojca — jako żona jest w niewoli u męża, jako wdowa wreszcie musi ulegać synowi. Otwarte wypowiedzenie posłuszeństwa rodzicom jest w Chinach uważane za zbrodnię, która nawet śmiercią może być karana. Młode dziewczęta nie okazują oporu przy zaręczynach ani przy zaślubinach. Ale skoro się znajdzie w domu małżonka, wtedy odrzuca wszelkie jadło i napój i poczyna się srożyć okropnie. Kiedy upłyną takie trzy dni „miodowe", musi młoda żonka według obyczaju chińskiego złożyć odwiedziny swoim rodzicom. Ale skoro się znów znajdzie w domu ojcowskim, wzbrania się stanowczo opuścić go. A ponieważ to schronisko jest uważane za święte i nietykalne, przeto musi młody małżonek odstąpić od „szczęścia małżeńskiego". Gdy się kobieta uwolni w ten sposób od jarzma małżeńskiego, szuka sobie jakiejś pracy, aby mogła zarobić na utrzymanie. Niekiedy nawet część oszczędzonej sumy oddaje swemu opuszczonemu mężowi, by i on mógł sobie nieco osłodzić samotny żywot.

DLA NASZEJ DZIATWY.

Gościnność polska.

Wielkie domy za granicą,
A w nich ciasno, choć nie ludno;
U nas mury się nie świecą,
A o kącik nie tak trudno,
Ledwo człekby czasem wierzył,
Dom nie wielki! Wtem gość wchodzi:
Ot i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
Przybył drugi i dziesiąty,
I nie ciasno jest nikomu;
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu.
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył.
I ta strzecha choć uboga,
Chociaż niska, przecież bliska
Dla obcego i dla swego,
I od Boga, aż do wroga
Jest tu miejsce dla każdego.
A dopieróżto przyjęcie,
Jakie bywa w polskim domu!
Jak tam każdy poczczon święcie!
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesoło, w noc rzęsisto,
Biało, gładko, potoczysto,
Czeladź syta i okryta;
Wszystko w czasie urządzone,
Przymaszczone, osłodzone,
Indyk kruchy, kapłon tłusty,
A do tego dzban nie pusty.
Jest w czem serce rozweselić,
Jest się wszystkim czem obdzielić.
Choć przyjęcie najłaskawsze,
Jest mis parę, parę dzbanów
Zostawionych jeszcze zawsze
Dla „zagórskich" panów.

Wincenty Pol.

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,

wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

— Od A do Z.

— List z ostrzeżeniem? Depesze?

— Wysłał je sługa szanownego pana. Zdaje mi się nawet, mam gdzieś recepisy (kwity pocztowe)

Otworzył szufladę białego drewnianego stolika, który wraz z łóżkiem i stołkiem stanowił jedyne umeblowanie celi, wydostał dwa świstki papieru i podał je inspektorowi.

— Co widzę — zawołał Ganimard — byłem pewien, że pana nie spuszczają z oka i przetrząsają wszystko. Tymczasem czytujesz pan dzienniki, przechowujesz recepisy.

— Ba, ci ludzie są tak głupi! Odpruwają podszewkę od marynarek, zaglądają między podeszwy butów, ostukują ściany, lecz żadnemu nie przyjdzie na myśl, że Arseniusz może sobie obmyślić tak łatwą kryjówkę... Na to właśnie rachowałem.

Ubawiony Ganimard wykrzyknął:

— Co za dziwny typ! Pan mnie wytrącasz z równowagi. Przejdźmy jednakże do sprawy Cahorna!

— Jak się panu spieszy! Mam pana wtajemniczać we wszystkie moje sposoby... odsłaniać najsprytniejsze arkany? To są rzeczy bardzo ważne...

— Omyliłem się zatem, rachując na pańską uprzejmość?

— Bynajmniej... Skoro pan nalegasz...

Dużemi krokami przeszedł się po celi, potem, zatrzymując się nagle, zapytał:

— Co pan sądzisz o moim liście do barona?

— Sądzę, że chciałeś pan zadziwić galeryą.

— Ha, ha, ha... zadziwić galeryą! Otóż, zapewniam cię, panie Ganimard, że miałem lepsze pojęcie o twych zdolnościach. Czyżbym ja, Arseniusz Lupin, tracił czas na podobne błazeństwa?! Czyżbym pisał ten list, gdyby on nie był koniecznie potrzebnym do ograbienia barona! Zrozumiejcie w końcu — pan i wszyscy inni — że list ten jest niezbędnym punktem wyjścia, motorem, który puścił w ruch całą maszynę. Zacznijmy od początku i obmyślmy razem — jeżeli to panu dogadza — plan okradzenia Malaquis.

— Słucham pana.

— Wyobraźmy sobie zamek, szczelnie zaryglowany i zabarykadowany — jak np. zamek pana Cahorn.

Czy mam się wycofać z góry i wyrzec się skarbów, których zapragnąłem, pod pozorem, że zamek jest niedostępny?

— Oczywiście, nie.

— Czy mam stanąć na czele awanturników i urządzić napad zbrojny — jak to czyniono niegdyś?

— Dzieciństwo!

— Czy mam się zakraść podstępnie?

— To niemożliwe.

— Pozostaje sposób jedyny — mojem zdaniem, a mianowicie: zmusić właściciela zamku, aby mnie zaprosił.

— Sposób oryginalny.

— A przytem, jaki łatwy! Przypuśćmy następnie, że pewnego dnia, wzmiankowany wyżej właściciel zamku otrzymuje list z zawiadomieniem o zamiarach niejakiego Arseniusza Lupin, głośnego włamywacza. Co baron uczyni?

— List odeszle do prokuratora...

— ...Który go wyśmieje, ponieważ ów Arseniusz Lupin siedzi obecnie w więzieniu. Poczciwiec straci głowę, szukać będzie pomocy i rady u pierwszego lepszego przechodnia. Nieprawdaż?

— To nie ulega wątpliwości.

— Jeżeli w takiej chwili wyczyta w pisemku miejscowem, że sławny agent policyjny spędza wakacye w blizkim sąsiedztwie..

— Zwróci się do niego.

— Rzekłeś pan. Lecz z drugiej strony, przypuśćmy, że Arseniusz Lupin, w przewidywaniu tego kroku, poprosi kogoś sprytnego z grona swych przyjaciół, aby zamieszkał w Caudebec'... dalej, że ten przyjaciel zapozna się z redaktorem „Rèveil", którą prenumeruje baron.. że zręcznie da do poznania redaktorowi, iż jest np. sławnym detektywem. Co nastąpi wtedy?

Redaktor ogłosi w gazecie obecność w Caudebec znakomitego agenta.

— Doskonale. Otóż, albo ryba — to znaczy Cahorn — nie da się wziąć na przynętę i wtedy cały plan rozpada się w gruzy... Albo też — i to hypoteza prawdopodobniejsza — połknie haczyk skwapliwie. Cahorn więc błaga jednego z moich przyjaciół o pomoc przeciwko mnie!

— Coraz oryginalniej.

— Ma się rozumieć, z początku pseudo-agent odmawia swej pomocy. Przychodzi telegram od Arseniusza Lupin. Przerażenie barona, który się zwraca do mego przyjaciela po raz drugi, ofiaro-

wując mu znaczną sumę. Rzeczony przyjaciel w końcu ustępuje, przyprowadza ze sobą dwu drabów z naszej bandy. W nocy podczas której przyjaciel mój nie traci z oczu Cahorna, pomocnicy jego przez okno spuszczają na linach wszystkie wymienione w liście przedmioty i składają je do szalupy, wynajętej ad hoc. Proste, jak Lupin, nieprawdaż?

— To jest poprostu cudowne! — wykrzyknął Ganimard, nie znając słów dla wyrażenia mego zachwytu nad śmiałością pomysłu i jego genialnem wykonaniem. Nie znam tylko tak sławnego agenta, ażeby urok jego nazwiska mógł przyciągnąć i zasugiestionować barona.

— Jest... jedno, jedyne.

— Jakie?

— Nazwisko najsławniejszego naszego detektywa, osobistego wroga Arseniusza Lupin — krótko mówiąc nazwisko inspektora Ganimard'a.

— Moje nazwisko?!...

— Tak, pańskie! I to właśnie rozkosz największa. Sprobój pan pojechać do Malaquis. Jeżeli baron zdecyduje się mówić z panem, dojdziesz do przekonania, że obowiązek nakazuje ci aresztować samego siebie — tak jak mnie pan zaaresztowałeś w Ameryce. Ha, odwet przekomiczny, nieprawdaż? Zmuszam Ganimard'a do zaaresztowania Ganimard'a!

Arseniusz Lupin śmiał się do rozpuku. Podrażniony inspektor zagryzł wargi. Jego zdaniem, żart nie zasługiwał na takie wybuchy wesołości.

Wszedł stróż więzienny przynosząc posiłek, który Arseniusz Lupin — dzięki specyalnym względom — otrzymywał z restauracyi sąsiedniej. Stróż postawił półmisek na stole i odszedł. Ganimard opanował się tymczasem. Arseniusz usiadł wygodnie, ułamał parę kawałków chleba, zjadł je, a potem rzekł:

— Uspokój się, kochany panie Ganimard, obejdzie się bez podróży do Malaquis. Odsłonię panu pewną tajemnicę, która napełni pana zdumieniem: sprawa Cahorna będzie wkrótce umorzona.

— Co takiego?

— Będzie wkrótce umorzona... powtarzam panu.

— To niepodobna! przed chwilą byłem u prefekta policyi.

— Cóż z tego? Czyżby pan Dudouis, w sprawach dotyczących mojej osoby, miał informacye lepsze odemnie? Dowiedz się pan zatem, że Ganimard — przepraszam najmocniej — pseudo-Ganimard utrzymuje nadal z baronem stosunki przyjazne. Otóż baron — i to jest główny powód jego milczenia — polecił pseudo-Ganimard'owi delikatną misyę zawarcia transakcyi ze mną. Bardzo jest prawdopodobne, że w obecnej chwili baron, za opłatę pewnej sumy wrócił już do posiadania swych skarbów. W zamian za to, oczywiście cofnął oskarżenie. Sprawa o kradzież upada i prokuratorya...

Ganimard wpatrywał się w więźnia ze zdumieniem najwyższem.

— Zkądże pan wiesz o tem?

— Właśnie otrzymałem oczekiwaną depeszę.

— Otrzymałeś pan depeszę?!

— Przed chwilą, kochany panie. Przez grzeczność nie chciałem jej przy panu odczytywać. Jeżeli jednak pan mnie upoważnia...

— Panie Lupin, pan drwisz ze mnie!

— Zechciej, kochany panie, rozbić ostrożnie to jajko. Przekonasz się, że myśl o żartach nie postała mi w głowie.

Ganimard usłuchał machinalnie. Z piersi jego wyrwał się okrzyk zdumienia. W pustej skorupce znajdował się tylko mały skręcony świstek niebieskiego pagieru. Na prośbę Arseniusza inspektor go rozwinął. Był to telegram, a raczej urywek telegramu bez znaków pocztowych.

Przeczytał głośno:

„Umowa zawarta. Sto tysięcy kul zdobyto. Wszystko dobrze“.

— Sto tysięcy kul? — powtórzył.

— Tak... sto tysięcy franków! To mało... lecz czasy są dziś ciężkie... Mam tyle wydatków ogólnych! Ba, gdybyś pan przejrzał mój budżet... budżet wielkomiastowy...

Ganimard powstał z miejsca. Jego zły humor już się rozproszył.

Zamyślił się chwilę.

Błyskawicznie ogarnął myślą całą sprawę, chcąc odnaleść jej słabe strony. Poczem odezwał się tonem, w którym dźwięczało szczere uwielbienie znawcy:

— Szczęściem, że ludzi takich jak pan nie można liczyć na tuziny. Inaczej należałoby zamknąć budę.

Arseniusz odparł z miną niewiniątka:

— Ba, trzeba się było jakoś rozerwać, zabić czas... tymbardziej, że kawał mógł się udać tylko wtedy, dopóki jestem w więzieniu.

— Jakto! — wykrzyknął Ganimard. — Więc pański proces, obrona, śledztwo — wszystko to nie wystarczało dla zabicia czasu?!...

— Nie, ponieważ postanowiłem nie być obecnym na swym procesie.

— Ha, ha, ha!

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

NR 18

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz niebo się wyjaśniło, bo rzadkie są w tym klimacie trzy dni bez słonecznego uśmiechu, ale nastąpił upał nagły, skwar niezdrowy wśród nizin ulewą przesiąkłych. Obóz niemal cały pokrył się łachmanami, porozwieszanemi na szałasach, rozrzuconemi na wałach i palisadach i to mu jeszcze nędniejszą nadawało powierzchowność.

Bohaterstwo miało tu tak spartańskiego ubóstwa oblicze, tak prozaiczną tchnęło nędzą, że przybyli z zapałem wielkim mogli się tem rozczarować.

Pułaski tylko wcale niezrażony powtarzał.

— Nie mają butów, ale mają serca.

W dniu tym znowu nic się stanowczego uczynić nie dało; wódz naczelny zawsze był jeszcze zajęty, wyjeżdżał na oglądanie okolicy... -kazano czekać. Chwile to były nad wyraz ciężkie, a im bardziej oczekiwanie się dłużyło, tem nieznośniejszem stawało.

Z szałasów nawet trudno było się wydobyć cudzoziemcom, aby nie obudzać niechęci, nie narażać na obelgi... nie robić sobie nieprzyjaciół.

Garstka tylko emigrantów francuskich gościnniejsza, sympatyczniejsza, spragniona nowin, otaczała przybyłych. Tak dzień minął cały, wieczor znowu nic nie przyniósł nowego, Lafayette prosił o cierpliwość, okoliczność ją nakazywała.

Pułaski choć się czasem gorzko uśmiechał, najmniej tracił ducha; domowe doświadczenia nauczyły go cierpieć.

Gdyby co rozweselić mogło w tak przykrem położeniu, to postawa rozpaczliwa gaskona, który przybywszy z najświetniejszemi nadziejami, po dwudziestu czterech godzinach doszedł do najkomiczniejszej rozpaczy. Ani jego papiery, ani wymowa, ani zuchwalstwo nie wyjednały mu nawet kąta w obozie. Znalazł ledwie u któregoś z litościwszych ziomków przytułek, a zamiast szlifów generalskich, marzonych zawcześnie, miał w perspektiwie powrót przez zburzony ocean do ojczystej pustki i biedy... klął też i przedrwiwał bosych republikaninów, nie szczędząc ich wcale, wyśmiewając łachmany, ubóstwo, barbarzyństwo, nieład, szałasy, obóz, taktykę.

— A! — krzyczał chwytając się za głowę — z Europy w oddaleniu wszystko wydaje się prze-

ślicznie, rosną na bohaterów chłopy za oceanem... a to garstka codotierów bez butów, bez chleba, bez pieniędzy, i bez broni! — Póki mego życia już się złapać nie dam... i nie daruję sobie, żem się pięknym opisom dał wziąć na wędkę.

— Wojsko... saperlotte! które żyje kukurydzą, patatami pieczonemi, ciepłą wodą zmoczonemi korzonkami i liśćmi — a pieprzu więcej spożywa niż mięsa...!

Nie ustawał w tych narzekaniach, których już słuchać nie chciano.

Polacy cierpieli w milczeniu, z godnością — nie rachowali nigdy na świetne powodzenie, szło im o bój o sławę.

Trzeciego dnia zniecierpliwiony wreszcie i Pułaski w szałasie zamkniętym wytrwać nie mógł, pod wieczor wymknął się niepostrzeżony, żeby na sąsiednich wzgórzach, poza obozem odetchnąć lżejszem powietrzem i nieco się rozpatrzeć w okolicy... Niespokojna natura usiedzieć mu nie dawała, rwał się do pracy.

Wieczor zdawał się zapowiadać pogodę, w obozie nieco raźniej wyglądało po nadejściu wołów i amunicyi.

Nadciągali ochotnicy, ruch panował wszędzie, o Anglikach pewniejsze nadeszły wieści, sposobiono się widocznie do stoczenia z nimi bitwy... konni posłańcy krzyżowali się po ścieżkach.

Kazimierz wyszedł na szańce, potem za miasto i ku niezbyt odległej rzece...

Okolica pusta i dzika, była dość piękną. Z dawnych ją okrywających lasów pozostały gdzieniegdzie pnie cedrów i dębów sterczące bezładnie, lub ocalony olbrzym puszczy osamotnioną głowę podnosił nad tym cmentarzem swej braci. Na gałęziach i obalonych kłodach czepiały się już bujnie rozrastające rośliny nieznane, pełne sił, szerokolistne, jaskrawe, wytryskające wszędzie, gdziekolwiek znalazły piędź ziemi wolnej. — Nawet spruchniałe kłody drzew rozkwitały cudownemi kielichy...

Liście tych cudownych stworzeń, ich postawa, bujność dziwić musiały mieszkańca północy, nawykłego do tych istot wątłych, które pół roku śpią pod śniegami, a pół walczą z chłodem i mrokiem. Powietrze też przesiąkłe wonią odurzającą, czuć było odmienne... lało ono w piersi potęgę odmładzającą, a w mózg upojenie jakieś i szały.

Zaledwie przeszedł z siekierą po trzebierzy robotnik... rzekłbyś, że za jego stopami odzyskiwała roślinność swe prawa, ścierała zniszczenia ślady, walczyła z nim zwycięzko. Drobnym tu, słabym wydawał się pan natury w obec potęg dziewiczego świata.

Rozpatrując się w tych nowych dla siebie widokach, Pułaski siadł na pniu ściętego drzewa, a myśl jego poleciała za ocean, na ukraińskie stepy. Zagrała jej tęskna pieśń od mogił wiekowych... utonął w snach przeszłości.

Gdy tak spoczywał i marzył, postrzegł przed sobą powoli nadchodzącego i jakby rozglądającego położenie mężczyznę wysokiego, barczystego, ubranego bardzo skromnie, z perspektywą i laską w ręku... Wyglądał on na zamożnego kolonistę, co własnemi rękami pracował około plantacyi — ale twarz poważna, myśląca piękna, zwiastowała w nim duszę szlachetną i rozum nie powszedni.

Szara suknia prostego kroju nieco dawnej formy nie dozwalała domyślać się wojskowego.

Spojrzawszy na Pułaskiego, uderzony znać obcą zupełnie postacią, od razu zdradzającą cudzoziemca i bolesnym wyrazem twarzy zoranej troskami wygnania... stanął przed nim i powitał go uprzejmie.

— Niewątpliwie — rzekł przystępując — przybywacie z Europy — nieprawdaż? co to robicie za obozem?

— Zgadliście — odpowiedział Pułaski — jestem tu świeżym przybyszem... wyszedłem, korzystając z jaśniejszego nieba, aby się rozpatrzeć w kraju mi nowym i nieznanym. Jestem tu całkiem obcy, przybywam od stron dalekich, z północy...

— Do jakiejże należycie narodowości?

— Jestem Polak — rzekł Pułaski — mam zaszczyt liczyć się do najnieszczęśliwszego narodu na ziemi, który był wolnym, gdy inne były w pętach, a dziś rozszarpany jest i ujarzmiony. Nieopatrzność własna, nieszczęśliwe położenie, spisek trzech silnych mocarzy, wydał nas na łup bez wojny... przeciwko prawu narodów.

— Nie mogliżeście się bronić? — zapytał nieznajomy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Wybiła jedenasta. Za pół godziny zmieniać miano placówki.

— Wszak zwykle dopiero od południa do pierwszej Austryaczka przechadza się? — spytał Dixmer Tisona, przechodzącego właśnie obok chatki.

— Tak jest, od południa do pierwszej.

Dixmer przywołał natychmiast tych, którzy mieli stać na warcie od pół do dwunastej do pół do pierwszej, zalecił, aby spiesznie kończono śniadanie i kazał Morandowi, by wziął broń, ponieważ według umowy, miał go postawić na ostatniem piętrze wieży, w tej właśnie budce, za którą ukrywał się Maurycy owego dnia, kiedy dostrzegł znaki czynione królowej z okna przy ulicy Porte-Foin.

Gdyby kto widział Moranda w chwili, gdy odbierał rozkaz tak prosty i spodziewany, byłby spostrzegł, że długie czarne włosy nie zdołały pokryć bladości jego twarzy.

Nagle po dziedzińcu Temple rozległ się głuchy szmer, usłyszano niby uragan krzyków i ryczeń zdala się rozlegający.

— Co to jest? — zapytał Dixmer Tisona.

— O! ho! — odpowiedział ceklarz — nic to, nic, łotry Brissotinowie nim pójdą pod gilotynę, chcą zapewne zrobić mały rozruch.

Zgiełk jednakże coraz stawał się groźniejszym, usłyszano pochód artyleryi i hałaśliwy tłum ludzi przebiegł koło Temple, wrzeszcząc:

— Niech żyją sekcye! niech żyje Henriot! Precz z Brissotinami! Precz z Rolandistami! Precz z panią Veto!

— Dobrze, dobrze — powiedział Tison, zacierając ręce — otworzę pani Veto, niech się bez przeszkody nacieszy miłością swego ludu.

I zbliżył się do drzwi wieży.

— Hej! Tison! — krzyknął jakiś głos donośny.

— Jenerale! — krótko odpowiedział ceklarz.

— Dziś niema przechadzki — rzekł Santerre — uwięzione nie wyjdą ani na krok z pokoju.

Rozkaz ten był nieodwołalny.

— Dobrze — odpowiedział Tison — mniej będę miał kłopotu.

Dixmer i Morand smutnie spojrzeli po sobie, a potem oczekując zanim wybije godzina bezpożytecznej teraz warty, obojętnie zaczęli się przechadzać pomiędzy chatką a murem przyległym ulicy Porte-Foin. Tam Morand geometrycznemi stopy zaczął mierzyć odległość.

— Jakaż odległość? — spytał Dixmer.

— Sześćdziesiąt lub sześćdziesiąt jedna stopa — odpowiedział Morand.

— Ileż dni potrzeba będzie?

Morand rozmyślał, laseczką, którą trzymał w ręku, nakreślił na piasku kilka geometrycznych linii i zmazał je natychmiast.

— Trzeba będzie przynajmniej dni siedm — rzekł.

— Za tydzień Maurycy będzie na służbie — szepnął Dixmer. — Przez ten czas koniecznie musimy się z nim pogodzić.

Wybiło pół.

Morand wzdychając, wziął karabin na ramię i prowadzony przez kaprala, poszedł zmienić placówkę, przechadzającą się na płaszczyźnie wieży

---

XIV.

Poświęcenie.

Nazajutrz po opowiedzianych dopiero wypadkach, to jest, dnia 1. czerwca o 10 rano, Genowefa siedziała w zwyczajnem miejscu przy oknie; zapytywała sama siebie, dlaczego od trzech tygodni, każdy dzień wschodzi dla niej tak smutnie, upływa tak powolnie i nakoniec, dlaczego teraz

każdy wieczór przeraża ją, kiedy przeciwnie dawniej z takim go upragnieniem oczekiwała.

Nocy jej nadewszystko były smutne, te nocy tyle niegdyś piękne, bo wśród nich marzyła o wczoraj i o jutrze.

W tej chwili wzrok jej padł na wazonik pstrych i czerwonych goździków, które na zimę aby zakwitły, brała do pokoju, z tej właśnie cieplarni, gdzie więziono Maurycego.

Maurycy nauczył ją pielęgnować te goździki w mahoniowej skrzyni; dopóki bywał u niej, ona je zawsze podlewała, oczyszczała i sama owiązywała, bo gdy przyszedł wieczorem, lubiła mu pokazać jaki postęp dzięki wzajemnemu ich staraniu, kwiateczki te przez noc uczyniły.

Ale odkąd Maurycy przestał odwiedzać ją, biedne zaniedbane goździki dla braku starania i pamięci o nich, opadły i żółknąć poczęły, wychylały się z za balustrady, na którą zwiesiły się przez pół zwiędłe.

Widok ten wytłómaczył Genowefie przyczynę własnego jej smutku.

Wyznała sama przed sobą, że niektóre kwiaty na kształt przyjaźni dla pewnych osób, żywionej i namiętnie pielęgnowanej, rozweselają serce; lecz kiedy czasem jakaś hymera lub przygoda z korzeniem wyrwie tę przyjaźń, wówczas serce, które przyjaźń ta ożywiała, ściska się zwolna i niszczeje.

Tak myśląc młoda kobieta, uczuła okropną boleść w sercu, w głębi jej myśli walczyło uczucie, które pokonać pragnęła, które zwyciężyć miała nadzieję, a walcząc głośniej niż kiedykolwiek, wołało, że umrze dopiero wraz ze śmiercią tego serca; natenczas nastąpiła chwila rozpaczy, Genowefa uczuła, że walka staje się dla niej coraz niepodobniejszą, zwolna więc pochyliła głowę, ucałowała jeden zwiędły goździk i zapłakała.

Mąż wszedł właśnie do niej w chwili, gdy ocierała oczy.

Ale i Dixmer tyle był roztargniony własnemi myślami, iż nie odgadł bynajmniej bolesnego przesilenia, jakiemu tylko co uległa jego żona i nie zważał nawet na oskarżającą czerwoność jej oczu.

Prawda, że Genowefa spostrzegłszy męża, żywo powstała, biegnąc ku niemu tak, aby w półcieniu plecami do okna obróconą była:

— I cóż? — zapytała.

— A cóż! nic nowego; niepodobna zbliżyć się do Niej, niepodobna nic wręczyć; niepodobna nawet widzieć jej.

— Co! — zawołała Genowefa — mimo takiego hałasu w całym Paryżu!

— Właśnie też ten hałas podwoił baczność czuwających, obawiano się, aby korzystając z powszechnego poruszenia, nie poważył się kto uczynić zamachu na Temple, i w chwili, gdy Najjaśniejsza Pani wejść miała na wieżę, Santerre wydał rozkaz, aby nie wypuszczano ani królowej, ani księżnej Elżbiety, ani królewskiej córki.

— Biedny kawaler, musiało go to bardzo zasmucić.

— Wpadł w rozpacz, widząc, że tracimy tak dobrą sposobność. Zbladł tak, żem go musiał odprowadzić na bok, aby się nie zdradził.

— Lecz — bojaźliwie spytała Genowefa — nie mieliżeście w Temple żadnego znajomego urzędnika?

— Miał być jeden, ale nie przyszedł.

— Który?

— Obywatel Maurycy Lindey — rzekł Dixmer zmuszając się zachować ton obojętny.

— I dlaczegoż nie przyszedł? — spytała znowu Genowefa, czyniąc na sobie to samo wysilenie.

— Bo chory.

— Chory, on?

— Tak jest, i to dosyć nawet mocno, bo mimo, że jak wiesz, dobrym jest patryotą, musiał jednak innnemu kolej swą odstąpić.

— Szkoda.

— O! mój Boże! choćby i on tam był Genowefo — przerwał Dixmer — pojmujesz zapewne, że wyszłoby na jedno, ponieważ poróżniliśmy się, możeby więc unikał rozmowy zemną.

— Sądzę, mój przyjacielu — rzekła Genowefa — że przesadzasz, zbliżenie ku niemu, nie byłoby tak trudne. Może panu Maurycemu nie podobało się bywać u nas, może ma jakie czcze powody nie widywania się z tobą, lecz mimo to on nie jest naszym nieprzyjacielem. Oziębłość nie pozbywa się grzeczności, widząc zatem, że idziesz ku niemu, pewna jestem, że byłby się także zbliżył ku tobie.

— Genowefo — powiedział Dixmer — my więcej niż grzeczności żądać chcieliśmy od Maurycego, bo nawet prawdziwej a szczerej przyjaźni. Przyjaźń ta zerwaną została, z tej więc strony nie ma już żadnej nadziei.

To mówiąc Dixmer westchnął głęboko, a czoło jego zwykle wypogodzone i gładkie, smutnie się sfałdowało.

— Ależ — bojaźliwie rzekła Genowefa — jeżeli mniemasz, że pan Maurycy tyle jest potrzebny waszym zamiarom...

— Prawdę mówiąc — odpowiedział Dixmer — wątpię, aby się bez jego pomocy udało.

— To czemuż nie sprobujesz zbliżyć się znowu do obywatela Lindey?

Zdawało się Genowefie, że wymieniając tego młodzieńca po nazwisku, brzmienie jej głosu nie było tyle czułe, jak gdy go wspominała po imieniu.

— Nie — odpowiedział Dixmer, zwieszając głowę — nie, czyniłem co mogłem, nowy krok z mojej strony dziwnieby wyglądał i mógłby obudzić w nim podejrzenie, a potem, moja Genowefo, ja dalej widzę niż ty w tym interesie; w sercu Maurycego jest rana.

— Rana? — spytała mocno wzruszona Genowefa. — Dla Boga! przyjacielu! tłómacz się jaśniej!

— Oto, moja Genowefo, zapewne i ty jesteś przekonaną, że powodem zerwania naszego z obywatelem Lindey, nie jest prosty kaprys.

— Czemuż więc przypisujesz to zerwanie.

— Może dumie — żywo odpowiedział Dixmer.

— Dumie!...

— Tak jest, poczciwy ten Paryżanin, ten pół arystokrata, pod płaszczem patryotyzmu kryjący swe przesądy, i ten republikanin tyleż przemożny w swej sekcyi, klubie i municypalności, jak przynajmniej sam powiadał, czynił nam zaszczyt swemi odwiedzinami, nam wyrobnikom safianów. Możeśmy za mało okazywali mu grzeczności, możeśmy się w czem zapomnieli.

— Lecz — przerwała Genowefa — jeżeliśmy niezbyt byli dla niego grzeczni, jeżeliśmy się zapomnieli, sądzę, że krokiem, któryś uczynił, wszystko okupiłeś.

— Tak jest, przypuszczając, że błąd z mojej strony pochodzi, ale jeżeli przeciwnie tyś winna tego błędu...

— Ja? a jakimże sposobem, mój przyjacielu, mogłam zbłądzić przeciw panu Maurycemu? — spytała zdziwiona Genowefa.

— Ha! kto wie, z podobnym charakterem? Czyliżeś nie ty pierwsza nazwała go kapryśnikiem? Tak, mam słuszność Genowefo, zbłądziłaś boś nie chciała do niego napisać.

— Ja! — zawołała Genowefa — i ty to mówisz naprawdę?

— Nietylko mówię — odrzekł Dixmer — ale nawet od czasu, jak trwa nasze poróżnienie, wiele nad tem rozmyślałem.

— I?... — lękliwie spytała Genowefa.

— I uważam krok ten za nieodzowny.

— O! — zawołała Genowefa — nie, nie, Dixmer, nie wymagaj tego po mnie.

— Wiesz dobrze, Genowefo, że nigdy niczego od ciebie nie wymagam, że cię tylko proszę. A więc, moja droga, proszę cię, napisz do obywatela Maurycego.

— Ależ... — wyjąkała Genowefa.

— Słuchaj — przerwał Dixmer — albo poróżniłaś się z Maurycym dla bardzo ważnych powodów, bo przecież nigdy się nie użalał na moje postępowanie, albo też to wasze zerwanie jest skutkiem jakiegoś dzieciństwa.

Genowefa nic nie odpowiedziała.

— Jeżeli przyczyną tego zerwania jest dzieciństwo, uwieczniać je byłoby szaleństwem, jeżeli przeciwnie powstało z ważnego powodu w obecnem położeniu rzeczy, wierzaj mi, nie powinniśmy zważać ani na naszą godność, ani nawet na naszą miłość własną. Nie kładźmyż zatem na równi sprzeczki dwojga młodych ludzi z interesami zbyt wielkiej wagi. Przezwycięż sama siebie, napisz kilka słów do obywatela Maurycego Lindey, a obaczysz, że przybędzie.

Genowefa namyślała się przez chwilę.

— Ależ — rzekła — nie możnaby obmyślić mniej kompromitującego środka ku przywróceniu dobrego porozumienia między tobą a panem Maurycym?

— Kompromitującego mówisz? przeciwnie, jest to środek bardzo naturalny.

— Nie dla mnie, mój przyjacielu.

— Bardzoś widzę uparta, Genowefo?

— Pozwól mi powiedzieć, że po raz pierwszy dopiero upór ten we mnie spostrzegasz.

Dixmer od kilku chwil gniotący chustkę w ręku, otarł pot z czoła.

— Tak jest — rzekł — dlatego też dziwi mię on tem mocniej.

— O mój Boże! — rzekła Genowefa — czyż podobna Dixmer, abyś nie pojmował powodów mojego uporu i koniecznie zmuszał mię do mówienia?

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Tak, jestem tu na łasce i z łaski — dodał Wolski stawiając świecę na stole — przypomniałaś mi to — czas koniec położyć temu... Mężczyzna na łasce kobiety, której serce dla niego bić przestało... niżej już upaść nie można... — czas się podnieść!

Nie patrząc już na nią pomyślał chwilę, świecę postawił na stole, uśmiechnął się sam do siebie, kapelusz nałożył na głowę, jakaś niepewność miotała nim... póki wyminąwszy Helmę, która stała nie wiedząc, co począć z sobą, nie ruszył się krokiem szybkim przez pokoik i salon ku pokojowi dzieci.

Helma pozostawszy sama zwolna, jakby ciekawością wiedziona szła za nim z głową spuszczoną. Gniew ją opuszczał — nie wiedziała, jak się skończy ta scena nie pierwsza w ich pożyciu, ale jedyna, która niecierpliwość obojga doprowadziła do krańca.

Wolski cicho wsunął się do pokoju dzieci — Lischen spała w swojej kolebce, zbliżył się ku niej i stanął przed nią. Dziecię jakby posłyszało czy poczuło kogoś, przeciągnęło rączki, poruszyło główką, otwarło powieki, poznało ojca i uśmiechnęło się.

Wolski pochylił się ku kolebce.

Lischen ręce wyciągnęła ku niemu.

— Nie — ciebie porzucić nie mogę — zamruczał — chodź Lischen... chodź.

Jakby zrozumiała go rozespana dziecina przechyliła się ku niemu.

On zlekka wziął ją z poduszką razem na ręce i płaszczem, którego zarzucić nie miał czasu, otuliwszy starannie, gdy dziecię wnet oczy zamknęło do snu — podniósł i uniósł ją z sobą. Nie powracając przez salon wprost wyszedł do przedpokoju.

Helma z książką na kolanach padła była zamyślona w krzesło w salonie, pochlebiając sobie, że się to wszystko skończy na słowach a Wolski jutro pod zwykłe jarzmo powróci, gdy usłyszała otwierające się drzwi jedne, potem drugie i poznała, że mąż jej wyszedł... Zbladła, stała zamyślona, zdawało jej się, że to była bezsilna demonstracya tylko. Z szyderskim uśmiechem, gniewna powlokła się przez pokój dzieci do sypialni.

Przechodząc rzuciła okiem na kolebkę najmłodszej i postrzegła, że jej nie było. Z załamanemi rękami, jakby nie wierząc oczom, zbliżyła się, dotknęła — pościółka była jeszcze ciepłą. Nie było wątpliwości teraz, że Wolski zwrócił się po to, ażeby zabrać Lischen i wyjść z tego domu na zawsze.

Miłość dla Wolskiego dawno w niej ostygła, doktor nie bez przyczyny posądzał ją o serdeczne stosunki z Arnheimem, który tu co dzień i po całych dniach przesiadywał — nie szło jej o męża, obojętnego, niemiłego może, ale się czuła obrażoną, dotkniętą — cierpiała jej miłość własna. — Zgodziłaby się była na odepchnięcie go, ale odepchniętą być — na to pozwolić nie mogła. Zburzyła się gniewna i porwała natychmiast od kołyski. Nieprzytomna przeszła się parę razy po pokoju dzieci, nie wiedząc jak, wsunęła się do salonu... zamyślona... oślepła. Potrącała się o meble i chwytała za nie, aby nie paść.

Była pewną, że ten mąż, z którym się dotąd obchodziła, jak chciała, zniesie wszystko i upokorzony padnie przed nią... Co mu się stało?

Przypisywała to zuchwalstwo wpływowi jego ziomków, zetknięciu z nimi. Zwiększyło to jeszcze jej nienawiść. W tej chwili wśród nocnej ciszy zegar wybił pierwszą... Matka spała, potrzebowała się widzieć, poradzić, przygotować z nią na dzień jutrzejszy... Chwiejącym się krokiem poszła po światło do pokoju dzieci, wzięła je i wahała się jeszcze, iść czy nie iść?

Matka była przywiązaną do niej, do wnuków, zupełnie obojętną dla Wolskiego, do którego miała żal zawsze — ale w domu na pozór znaczyła mało a wpływ jej na radzcę, niekiedy przeważny, czasem był bezskuteczny. — Riebe w wielu rzeczach ustępował, w innych narzuconego mu zdania nie przyjmował i odpychał je zacięcie... Cicho otworzywszy drzwi Helma zeszła na dół, miała zawsze klucz od mieszkania matki... Obawiając się rozbudzić ojca, który zresztą sypiał i chrapał jak parobek nie jak radzca komercyjny i kawaler orderu

korony klasy trzeciej na pętlicy — wsunęła się ostrożnie, osłaniając światło, do drzwi pokoju matki. Była to niemal tak uboga izdebka jak ta, którą przeznaczono dla Wolskiego. Radczyni ani lubiła ni potrzebowała przepychu.

Skrzypnięcie drzwi i promyk światła natychmiast rozbudził staruszkę, porwała się przerażona, postrzegła córkę i domyśliła się, że bytność jej o tej porze nic dobrego nie wróżyła.

Pierwszą jej myślą były wnuki, jedno z nich pewnie zasłabnąć musiało.

Złożywszy ręce czekała, co jej Helma powie, szepcząc coś niezrozumiałego drżącemi usty.

— Co to jest? co? mów!

Córka postawiła światło, potarła czoło i padła na fotel u łóżka matki, zakrywając twarz rękami.

— Dzieci chore? — spytała matka.

— Nie! ten człowiek! ten człowiek — przerywanym głosem poczęła Helma.

— Wystaw sobie... powrócił przed chwilą... nie było go cały dzień... poszłam mu uczynić wymówkę... tak — być może, iż się uniosłam... na niewdzięcznika, który nam, mnie winien wszystko. Nie wiem... czy wrócił nietrzeźwy, czy oszalał... obszedł się ze mną, jak jabym ze sługą się nie obeszła... Zabrał Lischen i uszedł...

Lischen była właśnie faworytą babki, która powtórnie załamała ręce i cichym głosem zawołała:

— W nocy! Lischen się zaziębi... z kołyski wprost! Co się z nią zrobi... to dziki człowiek, barbarzyniec, bez serca...

Staruszce łzy pociekły, córka siedziała z brwiami namarszczonemi.

— Miałam go już dosyć i odpokutowałam za błąd mój, żem się dała uwieść temu człowiekowi, który z mej nieznajomości świata korzystał, nie cierpię go, nienawidzę, ale żeby on śmiał mnie porzucać... a ludzie mówili... Nie! ja tego nie zniosę...

Porwała się z krzesła i chodzić poczęła po pokoju...

— Cicho! — odezwała się matka — radzca usłyszeć może! — (zwała męża zawsze panem radzcą). — To strach tylko, to pogróżka... on jutro powróci... Znasz go, cóżby począł sam jeden z dzieckiem. Ale moja Lischen! moja Lischen... Jakbym miała przeczucie! Chciałam ją na noc wziąć do siebie...

W tej chwili donośne aż tu chrapanie radzcy nagle ustało, mogło to być oznaką przebudzenia, obie kobiety przestraszone zamilkły, spoglądając na siebie. Wkrótce jednak przemogło uczucie gwałtowne, Helma zaczęła chodzić i wyrzekać gniewna, matka ją uspokajała — chrapania słychać nie było. W chwili, gdy zapomniawszy o ojcu i podniósłszy głos rozmawiały o tej nieszczęsnej nocnej przygodzie, drzwi sypialnego pokoju otwarły się nagle i radzca komercyjny w narzuconym starym szlafroku, szlafmycy i pantoflach stanął jak widmo przed przerażonemi i pochwyconemi na uczynku jakiegoś spisku kobietami. Zrazu patrzał na nie rozespany, gniewny, nadęty, wreszcie oburzony krzyknął:

— O tej godzinie! co tu baronowa robi! co jest! Powaryowałyście! ja chcę spać...

Helma najmniej się zmięszała i pierwsza postąpiła do ojca.

— Wolski uciekł z domu zabrawszy z sobą Lischen...

Riebe zdawał się nie rozumieć.

— Co? kto? — zapytał — kto uciekł? Poszalałyście.

— Wolski uszedł z domu zabrawszy z sobą dziecko...

Radzca osłupiały stanął.

— Uciekł? kiedy? to nie może być!

Nie pojmował, ażeby kto mając dach i wikt bezpłatny mógł od takiego dobrodziejstwa uciekać, choćby mu pod nosem drzazgi palono. Patrzał na żonę i córkę na przemiany. Usta mu się wykrzywiły, zamyślił się głęboko.

Kobiety czekały zaciekawione, co powie.

— Uciekł!! hm! filut. Zabrał to, co do niego nie należy! Córka należy do matki, synowie do ojca... ale ja mu nie dam ani jednej ani drugich. To wprost Schwindel, aby odemnie dostać pieniędzy. Odartus ten jakiś — włóczęga... ten... Polak...

Splunął.

— Jak się to stało?

Helma opowiedziała mu śmiało swoje z mężem spotkanie, wiedziała, że za to złajaną nie będzie, ale opisała je tak, jak potrzeba było dla niej i dla ojca.

Radzca sierdził się coraz mocniej i fukał coraz głośniej a potakiwał córce, wtórując:

— Der verfluchte Pole!

Przeszedł się parę razy po pokoju namyślając.

— A! so ist's, so! so! — powtórzył razy kilka zamyślony. — Dobrze więc — zagramy my we dwóch z sobą — zobaczymy, kto wygra!

— Ale mi wstyd ludzi! co jutro powiedzą... słudzy rozniosą po mieście, że mąż uszedł z domu dziecko unosząc.

— Mąż! Polak! — wzgardliwie rzekł radzca — wszyscy wiedzą, że oni są szaleńcy, że mózgu nie mają, cultur unfähige!! Co mi tam!

— Idź spać, nie ma się o co troszczyć. Rachuje na mój pugilares... spekuluje na radzcę. Radzca mu pokaże, iż się tego nie obawia.

— Spać!

Splunął, podał rękę milczącej żonie i zwolna się wyniósł do swej alkowy.

Helma pozostała zamyślona. Jedno uczucie miotało nią, gniew i pragnienie zemsty. Szczęściem miała przyjaciela, na którego łono nazajutrz obiecywała sobie wylać całą boleść, pewną będąc, że on ją zrozumie i pocieszy

To ją nieco uspokoiło, stawała się niemal heroiczną — schyliła się ku matce i krokiem dramatycznym wyszła napowrót na górę.

Nazajutrz cała ulica — całe miasto miało mówić o niej — któż wie — Spener lub Voss pod rubryką Locales und Vermischtes mogły pomieścić jej przygodę. Arnheim się musiał postarać, aby Polak w przyzwoitem świetle w niej wystąpił.

Otuliwszy swą zdobycz płaszczem od chłodu nocnego Wolski skierował się z nią ku Lipom (Unter den Linden) — sam dobrze nie wiedząc, gdzie i jak się podzieje.

Dziecię potrzebowało co najrychlej spoczynku, on nie miał nawet dosyć siły, aby je dźwigać na ręku. Pierwszy hotel, jaki mu się nastręczył, był dlań dobrym, byle się co najrychlej pod dach dostać.

Noc była cicha, jesienna, chłodnawa, chwilami wiatr wdzierał się w ulice i przelatywał je, unosząc pyły przez dzień nagromadzone...

Wolski chwycił za dzwonek i potrząsł nim z całej siły.

W gospodzie spało już wszystko, lecz dziecię przebudziło się na rękach i płakać zaczęło.

Nie rychło stukanie pantoflami dało się słyszeć wewnątrz i zaspany zastępca odźwiernego wyszedł narzuciwszy na siebie płaszcz a ujrzawszy nieznajomego mężczyznę z dzieckiem na ręku cofnął się przestraszony, chcąc mu drzwi zatrzasnąć przed nosem.

Wolski wcisnął się gwałtem prawie.

— Na miłość Bożą — zawołał — zapłacę, co zechcecie, potrzebuję izby, abym w niej przenocował.

Czarodziejski to wyraz w Niemczech, obietnica zapłaty nieograniczonej — stróż zastępujący odźwiernego zdawał się namyślać.

Wolski wcisnął mu w rękę talara.

Na dole była ciupka wolna. Stróż mrucząc poprowadził go do niej.

Nie miałby najmniejszej pewnie trudności, gdyby w towarzystwie zakwefionej jakiej pani zażądał o późnej porze mieszkania — ale z dzieckiem na ręku!

Stróżowi wszystkie tragiczne historye stolicy na myśl przychodziły.

Począł się przy zapalonej świecy przypatrywać z kolei gościowi, którego twarz wzburzona gniewem świadczyła jak najgorzej, to dziecku, które złożone na pościeli już usypiało znowu.

Wolski opamiętał się, że mało co więcej miał nad tego talara, siadł więc natychmiast, by pisać do Wojtusia, i zaklął stróża, ażeby list był o świcie umyślnym posłańcem wysłany — bądź co bądź.

List na którego adres rzucił okiem dosyć niespokojny Niemiec, nieco go ułagodził. Zmiarkował, że chyba w tem wszystkiem żadnego nie było kryminału.

Przyrzekłszy więc list co najrychlej wyprawić — odszedł zostawując przybysza, który się rzucił w fotel i osłoniwszy światło — postanowił tak noc przepędzić.

Na sen nie zbierało mu się wcale — rzucone były kości! — został sam na szerokim świecie z dzieciną.

O żadnej zgodzie i przejednaniu myśleć nie mógł, pożegnał ten dom i tych ludzi, którzy pochłonęli część jego życia — na wieki! Z pierwszych dni szczęścia zmięszanego z niedolą zostało mu mętne wspomienie pełne boleści... za niemi szły lata całe bytu galernika w pokorze za zbrodnię pokutującego.

Dziwił się, jak mógł tak długo wytrwać, jak mógł ją pokochać i miłość dla niej zachować tak długo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

Nasze działaczki społeczne w czasach obecnych.

Straszną była burza, która przeciągając ponad naszemi głowami, w zawrotny swój wir pociągnęła tysiące ofiar — przyniosła jednak błogosławioną chwilę, przełom radykalny w stosunkach: możność uderzenia w stal zbiorowego czynu, możność zrzeszania się do wspólnej pracy dla ogólnego dobra. W *organizacyi* tkwi ta siła niespożyta, która potrafi zwalczyć nie tylko trudności zewnętrzne, ale i te, które tkwią we właściwościach narodowego charakteru. Powołując wszystkie stany do działania, zaciera różnice klasowe, wyrabia ludzi i zaprawia ich do spełniania obywatelskiego obowiązku. Opierając się na samopomocy, budzi inicyatywę i skuteczniej zapobiega nędzy, niż jałmużna i filantropia.

Kobiety wnieść mogą do stowarzyszeń ład, wyrozumiałość i harmonię, i stać się potężną dźwignią ich działalności. W ciągu lat ostatnich już cały ich legion stanął do zbiorowej, społecznej pracy — czeka na nich jeszcze pole kooperatywy, pracy współdzielczej — i to jest akcyą przyszłości, do której potrzeba przejść gruntowną drogę odpowiednich studyów.

Jedne z pierwszych zorganizowały się w Królestwie ziemianki. Nie było to łatwą rzeczą — rozproszenie folwarków, dojazd często trudny, brak życia towarzyskiego na wsi nie sprzyjał zjednoczeniu się i porozumieniu. Wtedy to zjawiła się kobieta, jakby stworzona do osiągnięcia łatwego wpływu. P. Marya *Kleniewska*, posiadaczka znacznego majątku, w którym zdążyła już zaprowadzić pewne instytucye kulturalne, przytem obdarzona osobistym urokiem, pięknym metalicznym głosem, wypowiadającym muzykalnie i donośnie zachętę do zerwania z martwym szablonem, do podjęcia społecznej pracy, wzorem Szwedek i Dunek, — przytem pełna tej rozlewnej serdeczności, może trochę bezkrytycznej, ale w naszych ziemiańskich stosunkach nigdy nie chybiającej celu, pociągnęła, zachęciła a nawet zentuzyazmowała swoją sferę.

Zaczęły się tworzyć Kółka ziemianek po wsiach, później centralne Koło w Warszawie; rezultat dzisiejszy, choć już pod innem, bardzo jednak gruntownem kierownictwem, jest następujący: tysiąc właścicielek większej własności, sfederowanych do pracy ekonomicznej i kulturalnej, — parę setek włościanek, podążających za ich przykładem, — szeregi ciągle powstających ochron, no i pewne koło samokształcenia do owocnej, zbiorowej pracy.

W prostej niejako linii od Wysłouchowej idzie p. *Dziubińska*, wierząca gorąco w rolę społeczną ludu i prowadząca córki włościańskie drogą nauki pracy gospodarczej; była ona pierwszą pionierką szkół gospodarczych, coraz liczniej u nas zakładanych dla dziewcząt.

A Warszawa — to serce kraju — ileż w niej różnorodnych objawów pracy społecznej kobiet! Jedne walczą o równouprawnienie, o równe prawa polityczne i społeczne, i przysposabiają się do nich za pomocą ciągle głoszonych odczytów, kształcących w różnych gałęziach wiedzy: *Bojanowska*, *Reinszmidt-Kuczalska*, *Walewska* — znane to i zasłużone nazwiska. Zastęp nauczycielek ulepsza szkolnictwo; p. *Szycówna* tworzy Tow. badań nad dziećmi; p. *Weryho-Radziwiłłowiczowa*, na ukoronowanie swej długoletniej na tem polu pracy — Tow. wyhowania przedszkolnego, — piórem, czynem i słowem pracują nad wychowaniem młodych pokoleń.

Za Warszawą podążają szybko miasta prowincyonalne. Kalisz we wszystkich instytucyach powstałych liczy pełne zasług kobiety, urządza wystawę ich prac — i chlubi się słusznie działaczką, p. Melanią *Parczewską;* Kielce zaznaczyły się przeważnie opieką nad służbą, wprowadzają kąpiele dla uboższej ludności, wciągają kobiety wszystkich sfer do wspólnej kulturalnej pracy; Radom ma p. *Daniewską*, Lublin panie *Ciświcką* i *Wolską*, a Siedlce w najtrudniejszych warunkach urządzają wystawę, pełną ciekawych i różnorodnych okazów pracy kobiet nieszczęśliwego ludu tamtych okolic.

W roku Słowackiego wszystkie miasta polskie urządziły obchody, staraniem kobiet przeważnie, na których nierzadko zaznaczają się talenty, chlubnie świadczące o wznoszącym się poziomie kulturalnym prowincyi, porównywanej niedawno do stojącej wody. Za kordonem działa w Poznaniu Zjednoczenie Towarzystw kobiecych oświatowych; Lwów ma dzielną rzeczniczkę politycznych praw kobiety w osobie p. *Dulębianki*, Kraków dzielną pracownicę ludową p. *Siedlecką*, nie licząc tych wszystkich kobiet, które pracują w kole Tow.

Szkoły Ludowej. W myśl zasady p. *Darowskiej,* założycielki wszystkich zakładów naukowych dla panien, prowadzonych przez Niepokalanki — „że oprzeć trzeba życie nie na tem, co przemijające, lecz na tem, co jest wieczne“, — tworzą się Związki katolickie kobiet w celach wychowawczych i społecznych. Wybitnie bardzo zaznaczyła się na tem polu hr. *Plater-Zyberk,* ogarniająca w swej działalności szerokie horyzonty, — p. *Marciszewska* i p. *Proczkówna,* dążąca w założonej przez się instytucyi ogrodów robotniczych do rozwiązania ważnej kwestyi socyalnej.

Rusza się nasz świat kobiecy na wszystkich polach, spieszy nagrodzić czas stracony, a ma przed sobą wiele, wiele jeszcze pracy — choćby gruntowną przemianę, praktycznie przystosowaną do potrzeb ekonomicznych dnia dzisiejszego — wychowania naszych panien, — o co się głośno dopominał tegoroczny zjazd pedagogiczny we Lwowie.

D-rowa Kosmowska.

Od redakcyi: Zajmując się specyalnie Królestwem, Szanowna Autorka powyższego artykułu pobieżnie tylko wspomina o działaczkach wielkopolskich. Praca ich nie ogranicza się jedynie do *Zjednoczenia Towarzystw kobiecych oświatowych,* którego kulturalne znaczenie uznajemy w całej pełni. Poza Zjednoczeniem mamy cały szereg instytytucyi społeczno-kulturalnych, prowadzonych przez wybitne jednostki kobiece. Wspominamy tu tylko Tow. *Warta, Ogródki dla dzieci,* nasze *Wystawy robót kobiecych* i inne. Praca w tych instytucyach jest może mniej głośną, lecz tem donioślejszą. — Tyle, by zadość uczynić sprawiedliwości.

Z polskiej pensyi przed stu laty.

Najstarsze pismo polskie codzienne „Gazeta Warszawska“ podaje obecnie ciekawy materyał historyczny, który poruszyła przed 100 laty. Między innymi znajdujemy tam „Regulamin dla pensyi i szkół płci żeńskiej.“ Regulamin jest świetnym dowodem na to, że kultura nasza w owych odległych czasach stała bardzo wysoko; bardzo wiele myśli w nim zawartych i dziś jeszcze uwzględnić nam należy przy wychowaniu. Jeden z ustępów Regulaminu tego z 17 kwietnia 1810 r. brzmi dosłownie:

REGULAMIN.

Dla Pensyy i Szkół płci żeńskiej, od Rady Dozorczej tych szkół w Departamencie Warszawskim podany do zatwierdzenia Izbie Edukacyjnej a od tej Magistratury do pensyy i szkół płci żeńskiey w całym kraju rozciągniony.

§. IV. Wychowanie moralne.

38. Religia, będąc nayważnieyszym punktem wychowania, zaszczepi wcześnie w duszy młodzieży bojaźń Boga, nadgradzającego cnoty, karzącego występki w teraźnieyszym i przyszłym życiu.

39. Starać się będzie Ochmistrzyni, aby młodzież zasadzała religią nie na słowach, ale na prawidłach i cnotach Chrześciańskch, na miłości bliźniego, na przepuszczaniu uraz, pomocy nieszczęśliwym i prawdziwey rezygnacyi w nieszczęściu.

40. Co się tyczy nauki religii, wyłoży prosto artykuły wiary, nie wchodząc w obszerne ich wywody, lub kontrowersye; ugruntuie prawdziwą pobożność, która na uczuciu ufności, a nie na liczbie modlitew odmówionych zależy...

47. Ugruntuie w sercach młodzi miłość oyczyzny, przywiązanie do własnego kraju i chęć dobra publicznego, do którego w każdym stanie przykładać się można, dopełnianiem swych obowiązków, i poświęcaniem, kiedy potrzeba, własnego interesu dla dobra kraju.

48. Ponieważ tak ważne przymioty, jakiemi są ochędostwo, porządek i zatrudnienie się nie nabywają się przez przepisy i naukę, ale przez nawyknienie codzienne, a zatem Ochmistrzyni jaknajpilniey przestrzegać będzie:

49. Aby Panny codzień umyte, wyczesane w bieliźnie i sukniach czystych były, i to samo ochędóstwo zachowały w rzeczach i sprzętach swoich.

50. Pilnować będzie, aby każda sama trzymała swoje suknie, bieliznę, sprzęty, książki, papiery w jak najlepszym porządku.

51. Nie pozwoli ani na jedną najmniejszą chwilę zostawać Pannom bez roboty, nauki lub jakowej zabawy.

52. Kłamstwo obrzydzać i wystawiać będzie jak najbrzydszą wadę, i najmniejszego uchybienia prawdzie nie pozwoli.

53. Obrzydzi również i zawstydzać będzie rozsiewane między drugiemi plotek i oskarżenia drugich przed sobą; okazując szacunek i chwaląc tę, która w najlepszej z drugiemi żyje zgodzie.

54. Łagodność i cierpliwość, jako najistotniejszy przymiot kobiety, zalecać i doskonalić będzie. Tym przedmiotem najwięcej celującą, zaleci przed osobą dozór mającą.

55. Po zakończonym egzaminie, przy rozdaniu nagród, same panny składające pensyą skażą osobie na popisie prezydującej tę z swoich towarzyszek, którą najbardziej kochają i którą za najlepszą z siebie sądzą. Prezydująca ozdobi ją najznaczniejszą nagrodą.

56. Ochmistrzyni, jeżeli chce, aby panny były łagodne, cierpliwe i grzeczne, powinna najprzód sama być z niemi łagodną, dobrą i grzecznie postępującą. Nie może bowiem wymagać, aby od niej doskonalszemi były.

57. Najmniejsza surowość w potrzebie okazana, więcej naówczas skutku czyni, jak codzienne łajania i niecierpliwości pochodzące, a mianowicie zły ton i niedelikatny, który przyzwyczaja i oswaja z złym obchodzeniem się, może delikatną bojaźń nagany, pochodzącą z czucia własnego szacunku, który jest najpewniejszą rękojmią cnoty, i który niestarty zachowując, zapewnia się najlepszy owoc wychowania.

58. Oprócz miłości rodziców, krewnych, przyjaciół, zaleci tę powszechną uprzejmość i rzetelną dobroć, która sama może dodać wdzięków mniej urodziwym i ozdabia samą piękność, która bez niej powab traci i brzydką się staje.

59. Lubo grzeczność jest jej tylko powierzchowną oznaką, jest jednak ważnym punktem wychowania; a zatem ochmistrzyni zaprowadzi dobry ton między pannami, tak w słowach, jak w obchodzeniu się wzajemnem z sobą.

60. Między osobami różnego stanu lub majątku nie okaże w obchodzeniu się żadnej upokarzającej różnicy; uniżać raczej będzie dumę, wynoszącą się z wyższości urodzenia lub z większego obdarzenia od losu. Zaszczepi raczej tę w każdym postępowaniu przystojność i godność, która jest prawdziwą duszy szlachetnością.

61. Ksztacić będzie gust osób sobie powierzonych, ceniąc w stroju, w sprzętach i we wszystkiem bardziej wdzięk, prostość, kształt przyjemny, niż niezgrabną chęć okazania bogactwa.

62. Strzedz będzie, aby tak w sądzeniu o rzeczach, w oświadczeniu własnych uczuciów, unikała młodzież wszelkiej przesady i exageracyi. Nie przepuści żadnego przesadzonego wyrazu, zastanowi nad zbytnią pochwałą lub rzeczy naganą, a tym sposobem ukształci porządek i nałoży do sprawiedliwego o rzeczach sądzenia. Odwracać będzie wczesne uprzedzenie się za, lub przeciw osobie, albo rzeczy, jako też od zmyślonego udawania uczuciów, których się nie czuje.

63. Jednostajność humoru, jednostajne zawsze okazywanie przyjaciołom równej twarzy i uprzejmości zaleci, jak istotny do szczęścia w życiu przymiot.

64. Skłonność do nagłej przemiany z zbytniej wesołości do smutku, lub dąsania się i kaprysu wstrzymywać będzie, aby się w nałóg nie przemieniła.

HYGIENA.

Żarnice i szkarlatyna w szkole.

II.

Szkarlatyna należy wogóle do najbardziej niebezpiecznych chorób wieku dziecięcego: albowiem szybko (nieraz w ciągu jednego dnia) zabija dziecko, albo prowadzi do uporczywych cierpień następczych (choroby ucha i nerek). Zdarzają się jednak postaci o przebiegu tak łagodnym, że dopiero następne zapalenie nerek lub łuszczenie wskazują na przebytą szkarlatynę.

Okres wylęgania bywa przy szkarlatynie bardzo niejednakowy — choroba występuje czasami już następnego dnia po zarażeniu się, najczęściej w 3—8 dni, niekiedy i w dwanaście. Choroba występuje bardzo gwałtownie: rano dziecko zdrowe idzie do szkoły, popołudniu zaś bywa już odesłane do domu z objawami choroby. Częstym objawem początkowym są wymioty; gorączka występuje szybko i ciepłota zwykle podnosi się odrazu wysoko; dość wcześnie występuje ból gardła. Wysypka zjawia się wcześnie; odznacza się ona szkarłatnem zabarwieniem i zlewając się pokrywa całą skórę tułowia. Wysypka w łagodnych wypadkach trwa 3—4 dni; łuszczenie zaczyna się późno i przeciąga zwykle długo; skóra schodzi dużymi płatkami.

Szkarlatyna łączy się bardzo często z innemi chorobami (dyfteryt, zapalenie ucha, nerek, ogólne zakażenie), nawet więc w tych wypadkach, gdzie dziecko po zniknięciu wysypki jest pozornie zdrowe, trzeba uważać je za usposobione do poważnych zawikłań — nie wypuszczać z łóżka i zachować dyetę mleczną przez 3 tygodnie od początku choroby.

Szkarlatyna należy do rzędu chorób bardzo zaraźliwych — zakażenie występuje przytem nie tylko przez zetknięcie się z chorym, lecz przez przebywanie w tym samym pokoju; osoby trzecie (bracia i siostry chorego) łatwo bardzo przenosić mogą zarazki na ubraniach i przedmiotach szkolnych; zarazek bowiem, wydzielany przez chorego wraz z potem, plwociną, moczem, ropą z ucha

i szczególniej z łuszczącym się naskórkiem, rozpyla się w pokoju chorego, osiada na ubraniu, sprzętach, lub książkach braci i sióstr chorego dziecka i przez to przenoszony bywa do szkoły, gdzie wywołać może nowe wypadki choroby.

W celu uniknięcia epidemii szkarlatyny w szkole należy zastosować szereg koniecznych ostrożności. Dziecko chore jaknajprędzej ze szkoły usunąć, — powinno ono być oddane do szpitala, gdzie przestrzegane są przepisy, ograniczające przenoszenie zarazka. Klasę, w której zachorowało dziecko, należy na kilka dni zamknąć, bo dziecko już przed wyraźnym wybuchem choroby zarazić mogło inne dzieci i w tej samej klasie zdarzyć się mogą nowe wypadki; jeżeli po 12 dniach wśród uczniów tej klasy nikt nie zachorował, pracę można na nowo rozpocząć, — pokój szkolny trzeba jednak przedtem uwolnić od zarazka przez odkażenie (dezynfekcyę) parą formalinową. Bracia i siostry chorego mogą chodzić do szkoły tylko wtedy, jeżeli chore dziecko oddane zostało do szpitala, a w domu zniszczono zarazek przez odkażanie; odosobnienie rodzeństwa najczęściej u krewnych nie jest wystarczającem, bo osoby pielęgnujące chore dziecko (matka) widują się ze zdrowemi i, nie zachowując środków ostrożności, przenoszą zarazek do nowego mieszkania.

Dziecko chore może wrócić do szkoły dopiero po 6 tygodniach, bo w tym czasie kończy się dopiero okres łuszczenia, z łuskami zaś niezmiernie łatwo przenoszony bywa zarazek. O ile po upływie 6 tygodni zostały jeszcze ślady łuszczenia (na dłoniach i stopach) dziecko do szkoły powrócić nie może. Jeżeli dziecko nie było oddane do szpitala, — mieszkanie, gdzie ono leżało i ubranie dziecka musi być po skończonej chorobie odkażone, aby zarazek nie mógł być przeniesiony.

Sumienne i energiczne stosowanie wyliczonych przepisów przy pierwszych zaraz wypadkach szkarlatyny może zapobiedz epidemii w szkole. Ograniczenie epidemii osiągnięte być może w tym tylko wypadku, jeżeli rodzice chorych dzieci, rozumiejąc słuszność wszystkich przepisów i zarządzeń, pilnie stosują się do nich. — Ci, co tych przepisów nie spełniają, dopomagają jednocześnie szerzeniu się zarazy i powiększają ilość ofiar, jakie szkarlatyna zabiera. Chociażby nawet udało się szczęśliwie, że pomijanie tych ostrożności nie doprowadziło do zarażenia innych dzieci, to jednak ryzyko podobne zbyt ciężko obarczyć może sumienie i stanowczo musi być najsilniej potępione.

Dom i kuchnia.

Przy zakupnie

spytać się zawsze siebie: „Czy to potrzebne?“ Jeżeli nie, nie kupować pod pozorem, że „takie tanie“. Niektóre kobiety poprostu chorują na manię kupowania „taniości“ i mieszkanie ich nieraz zawalone prawie mnóstwem gratów i gracików, które kupiły dlatego tylko, że tanio były do nabycia. Jest to absurd i marnotrawstwo. Kupować należy to, co potrzebne i pożyteczne, trwałe i odpowiednie. Kobieta pamiętać powinna, że nie ilość sukien, ale ich jakość i gust stanowi wartość. Raczej mieć jedną suknię dobrą i gustowną, niż trzy liche i nieefektowne

Przechowywanie artykułów spożywczych.

Gdy mleko trzeba przechować do drugiego dnia, należy przy gotowaniu często je mieszać, potem zaraz wstawić z garnkiem w zimną wodę i ubijać trzepaczką do ostudzenia. W ten sposób nie utworzy się kożuch na mleku i drugiego dnia będzie smakowało jak świeże, podobnie do surowej śmietanki.

Masło świeże ułożyć w kamienny garnek, nalać zimną wodą lekko osoloną, którą trzeba codzień zmieniać. Będzie przez długi czas jak świeże. Masło topione i zastudzone w garnku, obwiązać papierem ponakłuwanym, aby ułatwić przystęp powietrza.

Ser pokrajany nie obeschnie przez kilka dni, gdy będzie owinięty w płótno, umaczane w słonej wodzie.

Jaj, przeznaczonych na dłuższe przechowanie, nie należy nigdy obmywać.

Mąka na dłuższe przechowanie nie powinna stać w workach i w miejscu ciemnem, należy ją wsypać do skrzyni lub beczki i choć raz w tygodniu dobrze przemieszać.

Chleb nie wyschnie, gdy go owiniemy serwetą.

Ciasto kruche najlepiej przechować w zamkniętych puszkach blaszanych, lub szklanych słojach.

Oliwa do jedzenia powinna być lekko zatknięta korkiem, aby nie jełczała.

Sól trzymać w suchem miejscu, aby nie wilgotniała.

Kartofle powinny być umieszczone w suchem i przewiewnem miejscu, aby kiełków nie wypuszczały, bo wtedy są niezdrowe i mniej smaczne.

Jarzyny winny być cienko rozpostarte, aby się nie psuły.

:: HUMORYSTYKA ::

Przy egzaminie,

— Za ile lat będziemy mogli znowu obserwować tego kometę?

— Za... za... 60 lat.

— Dobrze. A z czego to pan wnioskujesz?

— Ja już mam czasem takie przeczucie, proszę pana profesora.

Przezorna gosposia.

— Obiecałaś żonusiu, że dziś będą na obiad grzybki, a jakoś ich nie widzę...

— Przepraszam się, kochanie, za ten zawód, ale widzisz... nie byłam pewną, czy grzyby, kupione przez Małgosię na targu, nie są trujące, więc kazałam dzisiaj udusić tylko część dla służby. Jeżeli im nie zaszkodzą, to jutro każę przyrządzić resztę dla nas...

Cokolwiek z historyi naturalnej.

— Wielbłąd może ośm dni pracować i nie pić nic, — opowiada pan Dratewka swojej połowicy czyszczącej rądle, skoro przyszedł do domu po zwiedzeniu przejezdnej menażeryi.

— To jeszcze nic, — odpowiada mu na to małżonka, zdradzająca gwałtownością ruchów, że nie jest dzisiaj do rozmowy usposobioną. — Ale ja znam takiego wielbłąda, co ośm dni pić potrafi, i nic nie pracuje.

Pan Dratewka stulił uszy i przeszedł prędko z kuchni do warsztatu.

Nie swoje.

— Czy nie wstydzisz się spacerować po mieście w takiem poplamionem i wytartem paletocie?

— Czego się mam wstydzić, przecie to nie jest moje, tylko pożyczone.

Z fizyki.

Wielkie ciała przyciągają do siebie ciała małe Dlatego bułki są coraz mniejsze, a piekarze coraz grubsi.

Zakochany.

— Proszę mamy, pan Karol mnie szalenie kocha.

— Jakto? Czy ci się oświadczył?

— E, to nie!... Ale pytał się, w którym banku tatka ma pieniądze i ile...

Nasi podróżnicy.

Na dworcu kolei Wiedeńskiej spotykają się dwaj słynni podróżomani i wszędobylcy.

— Jak się masz?

— Witaj!

— Dokądże bogowie prowadzą?

— A ty dokąd?

— Ja... do bufetu!

— I ja także!

— Patrzaj, jaki zbieg okoliczności, chodźmyż razem!

W niepewności.

Ojciec. No i co zamierzasz teraz począć?

Syn. Wyjadę do Ameryki.

Ojciec. A co dalej?

Syn. Czy to jeszcze nie daleko?

Przysłowie w porę.

Ona. Zrobił mi się wrzód na dziąśle, nie mogę ust otwierać.

On. Niema nic złego, coby na dobre nie wyszło.

Podczas kłótni.

— Mój panie! ja sobie tu nie pozwolę grać na nosie!

— No, no, no, bez obawy. Nigdybym się nie odważył zagrać na tak ordynarnym instrumencie!..

W szkole.

— Co oznacza nazwa „kalif“?

— Kalif... kalif... nazywa się każdy król Kalifornii.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“
Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.